

n miejsc zag-493-3ast-  
do 707930 II  
K  
Ak

# LISTY

o

# KRAKOWIE

przez

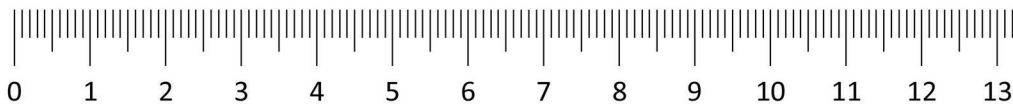
**PĘCŁAWSKIEGO.**

*Nakładem autora.*

**POZNAŃ**

W drukarni A. Woykowskiego.

1850.



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



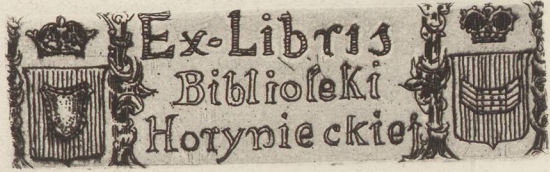
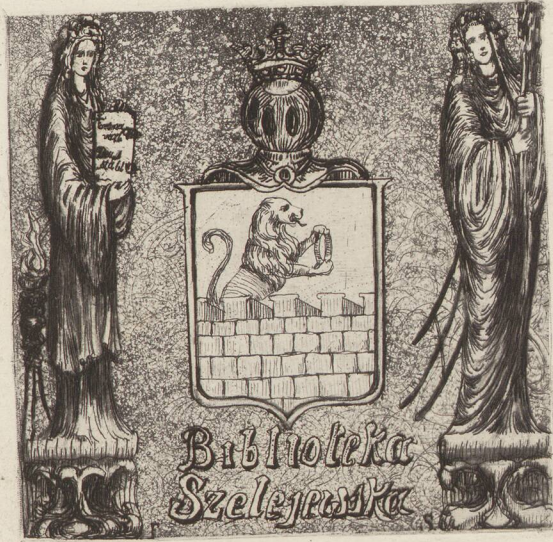
II  
107930

**Wypożycza się  
tylko do czytelní**

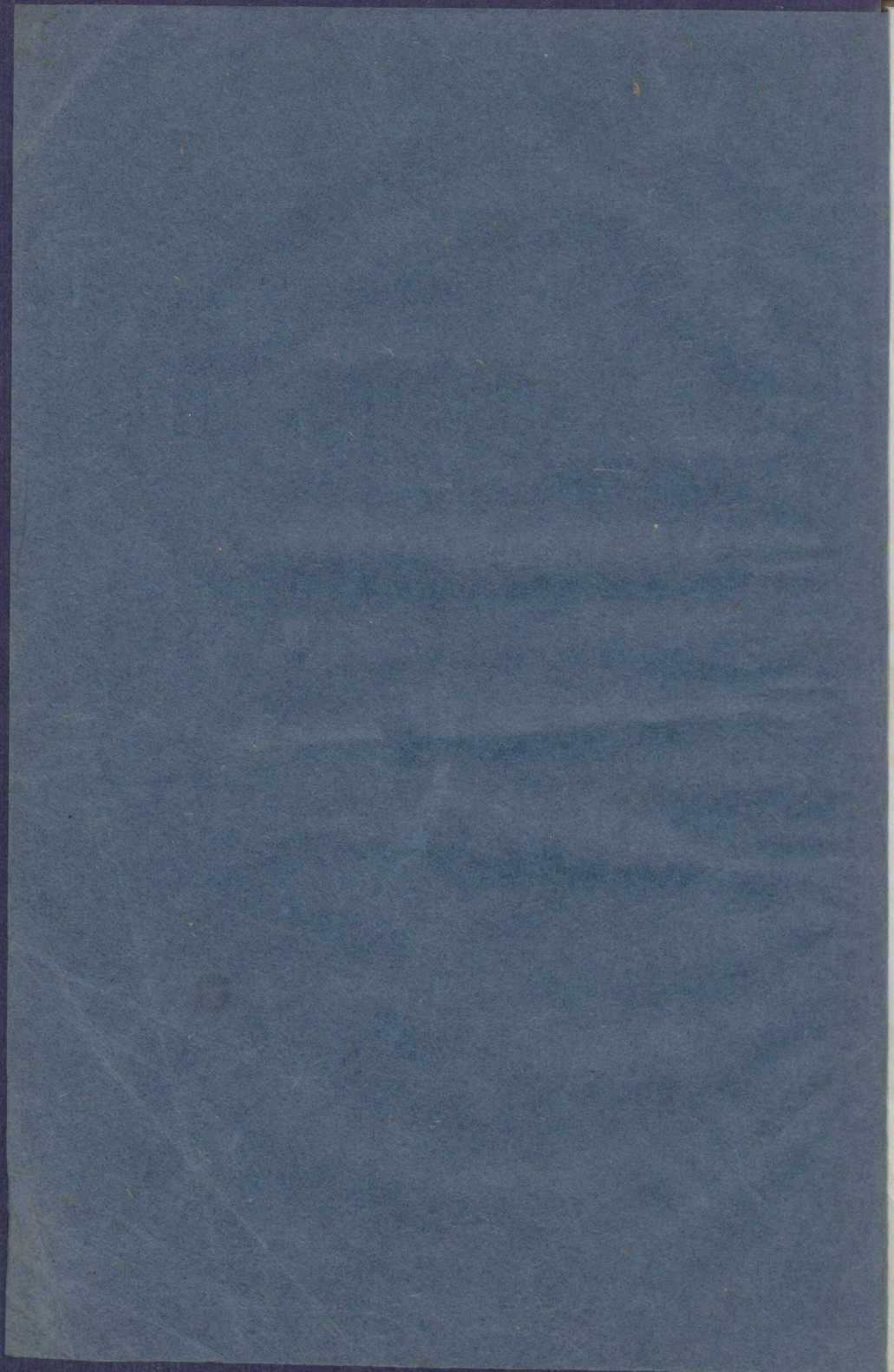
7000 MAR. 09

610 208

Vid. 1164543



2004.



nr miejsc zag-egz-8ast-  
do 107930 II

K

AK

# LISTY

o

# KRAKOWIE

przez

## PEŁAWSKIEGO.

3000/01

*Nakładem autora.*



## POZNAŃ

W drukarni A. Woykowskiego.

1850.

3000/01

K

Ar 866

LISTY

o

KRAKOWIE

pięć

RECZASIEGO.

104930. II

Wydawca



WYDAWCA

W drukarni A. Woykowskiego.

1870.

1853. D a 335

Białe kaniie Archaniola Gabriela w Młocze  
 czerwiec, gdy go się dotknęły grzeszne rze-  
 wienych. W posied niewiernych byłby za-  
 trzymał swój polityk i świadożył jaszczu mo-  
 cnej o odwrotności protoka.

Ze śmierci robił się żywie, ale nad groba-  
 mi wioje duch śmierci. Gdybym był o tam  
 wrzesień pamietał, byłbym sobie wiole znu  
 oszczędził, ale ty ta silnie wiążemy się ze  
 swymi idealami, że one chyba ze łzami albo

Wrocław, 6. Kwietnia 1849.

**Z**apytujesz mnie dla czegom tak prędko was  
 opuścił. Nie masz tygodnia jakem porzucił  
 Kraków i załuję szczerze żem doń przy-  
 jeżdżał. Bo czemu to była moja podróż, z ser-  
 cem i głową przepelnioną błogiem nadziejami  
 i radością otuchą nabrania nowych sił, nowego  
 życia, pokrzepienia. A mój wyjazd, mój wy-  
 jazd samotny! Szedłem jako ostatni Wajdelota  
 który widział wywrócone od wiatru dęby, wy-  
 sieczone gaje i święte ognie pogasłe. Cobyś po-  
 wiedział, gdybyś przyjechałszy do Jerozolimy  
 zamiast kościoła świętego Grobu, zamiast téj  
 kopuły karmazynowój, zamiast ścian marmuro-  
 wych błękitnym jedwabiem pokrytych, zamiast  
 złotych wiecznie gorejących lamp — ujrzał —  
 zabloconą stajnię, a w miejsce poważnych ka-  
 płańców, strzegących grobu Zbawiciela, zoba-  
 czył w niej — śpiące bydło. Śmiejesz się,  
 a przecież to historia mojej wędrówki i mojego  
 rozczarowania. —

Biały kamień Archanioła Gabryela w Meccie szerniał, gdy go się dotknęły grzeszne ręce wiernych. W pośród niewiernych byłby zatrzymał swój połysk i świadczył jeszcze mocniej o cudowności proroka.

Ze śmierci rodzi się życie, ale nad grobami wieje duch śmierci. Gdybym był o tem wcześniej pamiętał, byłbym sobie wiele żalu oszczędził, ale my tak silnie wiążemy się ze swymi ideałami, że one chyba ze łzami albo z krwią wypływają. Tym czasem powiem ci następną przypowiestkę. Szedł człowiek w odległe kraje i zaszedł nad rzekę Jordan i ujrzał dziką okolicę, a między górami szarego koloru na których ani drzewo, ani trawa nie porastała, widać było wielkie jezioro. A na brzegach rosły piękne jabłonie ze świecącymi się zdala złotemi jabłkami. Ze podróżny był zmęczony drogą, więc pośpieszył do drzewa i chwycił za gałąź, ale jątko w proch się rozsypało. Więc z téj wody co niegdys ludzi chrzcila z ducha, zaczerpnął, ale woda była gorzka i zjadliwa. Czuł że siły go opuszczają i usiadł nad brzegiem, chcąc odpocząć. Powietrze którem oddychał rozłamywało go coraz bardziej, widział że ciało jego pruchnieje i duch zeń uchodzi. Zebrał zatem co miał sił i uciekł z téj pustyni a odchodząc nazwał ją martwą i jezioro z którego pił morzem martwych. Taka jest historia mojej pielgrzymki; zamiast tego pokarmu, zamiast ożywczego światła którem szukał, wyniosłem piersi i zgni-

Iem powietrzem nadwątlone! Kiedym i was  
 i miasta waszego nie znał, myślałem że lu-  
 dzie stojący tu wrot naszej przeszłości, i wy-  
 znaczeni od i narodu jako strażnicy dawniej  
 jego chwały, jednym słowem ludzie mieszkają-  
 cy w tajemniczem kole trzech mogił, z tych  
 grobów stuleciem przywalonych, potrafią wydo-  
 być myśl co niegdys, pruchniejące pod ich sto-  
 pami kości ożywiała, potrafią natchnąć się tą  
 myślą, rozplomienić a jeśli jej wylać w całej  
 pełności niemogą, to przynajmniej chować  
 w swoim sercu jako najdroższe relikwie; jako  
 treść własnego jestestwa, jako krew płynącą po  
 ich żyłach duchownych. A wy podobni jeste-  
 ście do owych włoskich cynceronów co bez-  
 myślnie pokazują arcydzieła sztuki i olbrzymie  
 pomniki przeszłości, sami nie czując, nie poj-  
 mując tego, na co uwagę drugich zwracają! Po-  
 podobni jesteście do Arabów co pędząc na koniu,  
 nie zwrócą nawet uwagi na piramidy, podobni  
 jesteście do owych zwierząt co spokojnie pasą  
 się na polach Maratonu lub w wąwozach Ter-  
 mopyłów! Na gruzach starego świata wykopa-  
 liście sobie nóry i w nich spokojnie drzymiecie!  
 Jak Dyogenes z latarnią w ręku szukałem  
 człowieka, w którego by oczach połyskał ten  
 ogień co zamiast w sercach waszych tli się je-  
 szcze w grobach pod waszemi nogami. Dare-  
 mnie! Same tylko mgliste źrenice, figury krępe  
 i spaste, policzki tłuste i rumiane. Ciężkie, du-  
 szące powietrze zaległo nad waszem miastem  
 i żaden wiatr go nieruszy, żaden podmuch nie

rozwieje. Sen letargowy nowionał wszystkie głowy, a niemyślałem nigdy, aby ludzie śpiący mogli jeść, pić, chodzić i żyjących udawać. I to mają być owi rzęscy, weseli, skoczni krakowianie!

— Nie gniewaj się mój drogi, ale muszę wszystko wypowiedzieć — a tyle mam do was żalu. Może i niesłusznie, bo i cóżecie winni że ja was za coś lepszego miałem niżeli jesteście; to téż ja sam tylko cierpię, — bom o tym Krakowie od dni dziecinnych tyle namarżył, tyle rozkosznych z tamtąd wysnuł myśli, tyle uciech zawczasu w nim sobie obiecywał. Aż po długich i ty wiesz najlepiej, jak ciężkich staraniach, przyjechałem. Obaczyłem piękne groby — i nic więcej.

Miasto grobowe; — gdyby nie kościoły — dzwoniące wam podzwonne, nie kominy, dymiące się od rana do wieczora, nie błoto uliczne, myślałbym, że to cmentarz w konstantynopolu. Na ulicy wóz chłopski toczy się powoli; kilkunastu żydów stoi na środku chodnika i oto wszystko. Sklepy wiecznie puste, jedna czy dwie resursy w których żywego ducha nie zobaczysz, kilka kawiarni i traktyerni w których kelnery śpią od rana do wieczora. Wszędzie cicho i głucho po miejscach publicznych, sądziłbyś że wszyscy siedzą w domu. Gdzie tam! — nikogo w mieszkaniu nie zastaniesz, — masz do kogo interes skoro go w łóżku lub przy talerzu nie zdybiesz, do późnej nocy już go w domu nie zobaczysz. Gdzież oni są — ci mieszkańcy krakowa? — to było dla mnie wieczną

zagadką której i dzisiaj rozwiązać nie umiem. Co oni robią? — tego także wytłómaczyć nie jestem w stanie. Nie bawią się — bo nudniejszego miasta w całej Europie nie znajdzie. Wszystkich sen mórzy od rana do wieczora, i sporadyczne ziewanie zaraz przy śniadaniu porywa. W teatrze pustki, po spacerach pustki, po kawiarniach pustki; w domach pustki. — Równo ze dniem ludzie znikają jakby ich nigdy nie było. —

Wieczorem gospodarza prawie nigdy nie ma, pani śpi albo czyta dziennik. O, bo trzeba wiedzieć, że krakowskie panie nader żywo zajmują się polityką. Pierwsza kwestya co słyszeć w świecie z węgier, z turcyi, z francyi, z włoch. Jesli jakiej nowinki na prędce ukuć nie zdołasz, jeśliś nie czytał wcześniejszych od „Czasu“ dzienników nie mają już poco ust otwierać. Naturalnie cudzoziemiec, nie wtajemniczony w codzienne komeraże miasta, o plotkach miejscowych nic nie wiesz, łamiesz sobie więc głowę, suszysz myśl, chcąc zacząć pogadankę dla zwyczajaj. Ale to próżno — gospodyni skoro się dowiaduje, że nie jesteś miejscowym, (a dowiedzieć się nie ma potrzeby bo się tu wszyscy znają od dzieciństwa) zaraz pyta — z kąd przybyłeś, coś słyszał, czy się gdzie na wojnę nie zanosi; czyto prawda, że w Węgrzech wszystko się skończyło, czy papież do Rzymu nieprzyjechał, czy w Paryżu nie ma się ku rewolucyi? Rad nie rad musisz wdać się w politykę i słuchać stereotypowych ogólników

które o położeniu każdego kraju, w tych tylko miejscach kursują, jak wytarte pieniądze. Mówię wyraźnie: krakowskie panie, bo o pannach, słowa powiedzieć nie mogę. Prawie z żadną nie mówiłem, milczą wszystkie tak zacięcie, z taką skromnością spuszczają oczy, z taką przyzwoitością chronią się nieznanego, że wszystkie te panięńskie cnoty znudziły mnie najstraszliwiej. Ani czasu nie miałem, dobywać słowa szturmem, a jeśli kiedy wskazany zostałem na smutną ostateczność i w nieobecności Papy lub Mamy najstarsza córka bawiła mnie tymczasowo, bawiliśmy się oboje — ona patrząc w ziemię, ja spoglądając po ścianach i obrazach. Co one robią dzień cały, także niewiem; wnosząc z ich nieśmiałego ułożenia, sądziłbym że wszystkie dopiero wczoraj opuściły pensyą, a w téj chwili wróciły z kościoła, że czytają same tylko pisma pani Tańskiej — i po ulicach chodzą zakwiecone. Przypuszczam że to jest wszystko bardzo moralne i przyzwoite, ale obok tego nieznośnie nudne. —

Ojców, braci, mężów tych pań prawie nigdy w ich domu nie widziałem, co oni więc robią gdzie i jak się bawią powiedzieć nie mogę ale to pewna że o żadnej zabawie publicznej nie słyhać, a wieczór na 12 osób jest tak nadzwyczajnym wypadkiem, że o nim przez dwa tygodnie wszystkie towarzystwa rozprawiają.

Nikt się więc nie bawi ale téż nikt nic nie robi, Stósunkowo w żadnem mieście tyle

próżniaków nie znajdziesz. Żadnego ruchu, żadnego życia, żadnego zajęcia. Więc pojąć nigdy niemogłem z czego żyje tych pięciu krakowskich księgarzy, i zapewne umarli by od dawna z głodu gdyby nie kalendarze, nie książki do nabożeństwa, abecadła i dzieła szkólne.

Z początku sądziłem że młodzież z tego nieszczęśliwego ogółu, tworzy jakikolwiek wyjątek. Ta młodzież uniwersytecka, treść życia narodu, ten przyszły naród. Gdzie tam! Taż sama apatya, ospałość, ciężkość i lenistwo. Żadnego życia koleżeńkiego, śladu braterskości, żadnego zajęcia myśli, żadnego zapału i polotu myśli. Wszystko zimne, czcze, bez serca i bez głowy. Dzieci stare! — zanim się chodzić nauczyli poważnie, już skakać przestali. Jakaś przejrziała oględność, wyłączne ubieganie się za nauką chleba, obojętność dla właściwej nauki, obojętność dla przeszłości i powiedziałbym nieomal — dla przyszłości, a do tego wszystkiego zupełny brak uczucia własnej godności. Żyjące mary — których nic nie zapala, nie podnosi, ani nie zachwyca! O ta młodzież! to piekielny ból w sercu każdego uczciwego Polaka, ta młodzież to najstraszliwszy dowód zgnilizny i przedśmiertnego konania!

I gdzież są ludzie co to społeczeństwo tak wypiaستowali, gdzież jest ta szkoła co jego członków tak wychowała. Był tutaj przed dwoma wiekami uniwersytet Jagielloński, a jak się dzisiaj z Indexów dowiadujemy, podobno

i teraz istnieje. Poznałem się z nim nieco bliżej, powiem ci o nim inną razą. —

## II.

**Z**gorszyłeś się moim listem, nazywasz mnie marzycielem, zapaleńcem. Zapaleńcem, byłem nim, ale już nie jestem, rok pobytu mojego między wami ostudził mnie zupełnie. Jakże tu palić się wśród brył lodu? jakże tu rozplomienić wewnątrz iskrę wśród zimna i ciemności? Trzeba więc zamknąć się w samym sobie, zmrozić to żarzewie, bo inaczej zapomnę waszego języka — stracę klucz do waszych uszu. Dzisiaj — to straszliwa puszcza; świat mój nie dzisiajszy pełen gwiazd i kwiatów, pełen tryskającego życia. Świat mój już przeminął, i ja do niego należę. Kiedyś żyły te wielkie duchy, których kamienne nagrobki więcej mają ognia niżli wy żyjący! kiedyś to jaśniały te słońca na które patrząc ociemnieliście! kiedyś to znano ten wielki naród co przez wieki moce swoje wyléwał aż wszystkie wylał i zostało się cielsko bezwładne! kiedyś to jaśniał ten wielki dzień co całą północ rozwidniał, aż przyszła ciemna noc i wy mieszkańcy téj nocy jeżeli wam kto z tamtego świata przyniesie garść żarzącego wspomnienia, mrużycie oczy i krzyczycie: on spać mi nieda!

on zapaleniec! O wy ludzie dzisiejsi, formy minionego ducha, czemuż z tym duchem forma nie przepadła! A to co dzisiaj, jest jeszcze ojcem jutra!

Słowa moje rażą Was, a wy nie pojmujecie jak nicość wasza razi mnie, jakie to męki być na puszczy, jaki to ból palić się tym ogniem kiedy widok martwych brył każe go stłumić w samym sobie, jakie to tortury nie znaleźć ani jednego serea, ani jednego ucha, wszystkie świętości widzieć splugawione, wszystkie uczucia zbezczeszczone, wszystko co tobie drogie, zbrocone, splute, i zdeptane! O wtedy zazdroścę wam, wtedy chciałbym być skałą, na twarz moją chciałbym przywdziać nieprzejrzystą maskę, i tylko tym tworom co mnie otaczają pluć w oczy spojrzeniem! O wtedy wołałam do nieba, za jakie zbrodnie, za jakie ciężkie przestępstwa Bóg skazał mnie na to piekło, na to życie między wami!

Gmach już dawno runął, potrzaskał się w kawałki, z kawałków usypały się groby, a ja myślałam że ten piękny, ten miniony, przenajświętszy kościół jeszcze istnieje, że wy jesteście tym ostatnim filarem, ostatniem przeszłości sklepieniem! Bo czyż mogłam przypuścić aby ludzie których Bóg obdarzył taką tarczą przeciw mahości, których uzbroił w takie święte talizmany, zmaleli, znikczemnieli, jak i inni. Wasze miasto było dla mnie Golgotą i Betleem, tam był grób, z tamtąd miało wyjść odrodzenie. Dopóki w was miałem nadzieję, dopóty było to serce

spokojnie, rozszarpaliście ten ideał, wyrwaliście mi z serca ostatnią nadzieję.

Gdybym był wtedy umarł byłbym może uciekł przed bólem, a wam wyrzutów oszczędził. —

Przyszedłem do was z czystym uczuciem, a jakęście się na niem odbili patrzcie! oto obraz który wam podaję! On waszą jest własnością, gniewacie się na niego, i jak stara kokietka radzi byście potłuc zwiérciadło. Czyż to woda temu winna że wniej się chmurne niebo przebijają kiedy nie ma błękitu?


Wyście tacy jak i inni tylko w was więcej jeszcze śmieszności i drobnostek, aleście w niczem do ojców waszych nie podobni. Bo coż jest co byście z przeszłości wynieśli, chyba to co było szumowiną fermentacyi. Wasz patryotyzm jest papuzią krzykliwością, albo miłością skandalów, wasze poświęcenie wouią, którą własnemu egoizmowi kadzicie, Wasze uczucie obowiązków potrzebą waszego brzucha, wasza religia żółwiem nawyknieniem lub kłamstwem, wasza moralność fałszem lub beziłą, a niewola która was gniecie, miarą waszych zasług i miarą waszych potrzeb!

Ten jad który na was wyléwam mnie pierwej pożarł, te słowa, które wam eiskam, stoczyły mi serce, zgryzły mózg; ten brak nadziei poszarpał wnętrzości. Nie łzami ale krwią tylko taki ból wypłynąć może.

Ach! cożbym dał gdyby słowa moje nie waszą miłość własną ale waszą wiarę, i uczucie

świętości razily! O wtedy miałbym jeszcze nadzieję! Ale wy nie zwiecie mnie bluźniercą, tylko zapaleńcem, bo ja nie szarpie waszych ideałów, tylko waszę Małość!

### III.

ękła ta harfa, na której grały dwumorskie wichry, skonała pieśń dziesięciu wieków. Jest że między wami człowiek takich piersi coby mógł podnieść ten ton? Wybyście od jego grzmotu ogłuchli.

Wy żyjecie! boście tych grobów niewarci. Zstąpcie do nich, zetrzejcie kurz dwuwieczny!

Na wałach stoi mąż — jedną nogę oparł na dziale, ręce skrzyżował na piersiach, głowę podniósł do góry, jakby w nią miały bić pioruny stu burz. Na bladłej twarzy, lata służby publicznej wryły się bliznami, na szerokiem czole wyorały się zmarszczki bo mu sześciu synów zginęło na wojnie, i żona poszła za nimi do grobu; wzrokiem całą głębią ducha wystrzeżił i zapuścił go w szerokie błonie. Na błoniach roi się wróg i mury opasał do koła. Grzmią działa, kruszą się wały, ale na wałach stoi mąż.

Słni się niebo od połysku, kule świszczą po powietrzu, jęczy ziemia, dym i kurz ściemniły

dzień. Wróg się przybliży i pnie się na mury — z murów trupami zasypują rowy.

Do bramy wali się rota, a na przedzie wloką małe dziecko, które jęczy i płacze i rączęta wyciąga ku wałom. Mąż zachwiał się na dziale, zimny pot otarł z twarzy i ręką zakrył oczy. Umilkły gromy, bitwa ustaje, ku bramie wali się rota.

Mąż wstrząsł się na dziale aż mury zadrzały, krzyknął *ognia!* gromy błysnęły, zwały się rota, ciężkie dymy pokryły trupy, i rzekę krwi. Wróg stanął zmiészany, i szereg dzid wysunął na przód i tysiąc kul wyrzucił na wały. Mąż zeskoczył z wałów i z szablą dobytą pcha się w środek dzid, a za nim garstka żołnierzy. Trwa walka uparcie, za jednym szeregiem jawi się drugi. Mąż w środek wrogów ciska szablę — naco mu tam żelazo kiedy pierś jego odeprze kule i cięcia! Więc z ręką wzniesioną leci naprzód, a wzrok jego dusi i łamie. Bo poświęcenie poświęca człowieka i z ducha jego wyrzuca ogień który wszystko chłonie. A duch ten ożywia wszystkie członki i wszystkim jedną moc nadaje. Więc choć takiemu utną jedną rękę, to drugą sztandar pochwyca, gdy mu i drugą odrąbią to ciałem go swoim przykryje i hasła narodu chyba z ostatnią kroplą krwi odbiegnie.

Z wojny powraca mąż do domu i służy sąsiadom i plugiem pracuje, dopóki go naród na wielką radę niewezwie. Opuszcza więc chatę i spieszy do koła braci, gdzie radzą o pospoli-

téj rzeczy. Tam go mianują urzędnikiem, a w nagrodę poświęcenia płacą swoją wiarą. Choć się dom wali i rola stoi ugiorem, on ze stanowiska nie zbiegnie i nie opuści miejsca gdzie go wola jego braci wezwała, a kiedy trąba wojenna zagrzmie, dosiędzie konia i pędzi tam, kędy naród cały spieszy. A choć się w Jassyr dostanie, jego niewola niezegnie, ani kajdany nie wycisną na nim piętna podłości. Wrogi go uszanują i pozwolą wrócić do kraju, by donieść o losie swych towarzyszy. Spieszy więc, rozsyła wieści rodzicom, sprzedaje ostatni kawałek ziemi na wykup jeńców i z zebranemi pieniędzmi wraca do niewoli, uwalnia braci, a sam zostaje, bo powiedział sobie: że 70 lat służby publicznej już skończył i rzeczypospolitęj na nic się więcej nie przyda!

Tamci zwali się Polakami — a wy! — Was tylko jeografowie zowią Polakami.

\* \* \*

Serca wasze to groby, po których snuje się robactwo, głowy wasze to szczudła, na których chodzi wasza nikiemność: młyn w którym własne pruchno mielecie. Co mi tam, żeście wy tacy, jak inni, kiedyście być powinni nie tacy, kiedy jęcie chleb co z tych kości urosł.

Rozum wasz lisi z każdej dziury się wypełza, przebrnie przez każde błoto. Mali — wasze imione bluźnią przeszłości! wasze bohaterstwo — ukradkowy artykuł we francuzkiej gazecie — wasza służba publiczna — lizanie się

w przedpokojach ministrów i redaktorów zachodu. Z hańbą waszą obiegacie Europę i pokazujecie policzek na który wam napluto. Nie macie dość siły do zabrania głosu, ale macie dość podłości do skomlania przed obcymi i żarcia się między sobą. Wam przystoi obróżyć w której chodzicie. Historią waszego narodu przenieśliście na trybuny obcych parlamentów, a słowa z tamąd wyrzeczone podnoszą wasz patryotyzm i krzepią maluczkiego ducha. Tam rozprawiają o waszych męczeństwach, a wy nie pojmujecie, ile w tem dla was wstydu!

Z tych trybun mają wyjść moce przeciw waszym wrogom — wrogom — ale któż jest waszym wrogiem? waszym wrogiem najstraszniejszym, jedynym jest przeszłość. To też okłamujecie ją, a dla waszych dzieci, zamiast słonecznego obrazu; patologią własnego serca na brudnych szmatach piszecie. Urok jój wyszarzaliście na waszych ustach.

Aby ją pojąć, trzeba was i o was zapomnieć, otrzeć się z wszystkiego co z wami jest wspólnem, w ogniu cierpienia i w ogniu poświęcenia stopić swoje jestestwo i ducha podnieść, tak aby dosięgnąć téj góry po której ojcowie wasi chodzili.

A wszedłszy tam usłyszycie słowo które wam powiadam — życiem dawnych grobów ożywcie śmierć waszego życia.

— Chcecież na prawdę służyć pospolitój rzeczy, porzucicie to wszystko co wedle was sprawę publiczną podnosi a podnieście samych siebie!

## IV.

**K**ilka wspomnień z pobytu mego w Krakowie snuje mi się po głowie. Ciągnie mnie coś koniecznie abym ci je opisał, a słuszną izbym zaczął od początku.

Nieszczęście chciało żem przyjechał jakoś w pierwszych dniach października r. z. Kraków ocucony ze zwykłego letargu, w dzień i w nocy przeżuwał naówczas rewolucją Wiedeńską, a patriotyzm Krakowski piętrzył się obradami sejmu Austriackiego. Zdawało się że głowa, kadłub, nogi każdego mieszkańca, są w Wiedniu a w Krakowie zostały się same oczy. Gdzie się ręce i piersi podziały — ja ich w Krakowie próżno szukałem!

Ale wracając do rzeczy — okropny był mój przyjazd. Jeszcześmy w Bahnhofie niestanąli kiedy o uszy moje odbił się tłumny zmieszany gwar, krzyk i hałas, nie do opisania; do wagonu gdzie siedziałem wpadają jacyś ludzie, rzucają się na mnie i wołają: Czy nie z Wiednia jedziesz? Z Warszawy moi panowie! Ale nie słuchając mojej odpowiedzi wszyscy razem zakrzyczeli mnie: Co słyhać, co się stało? Jelaczyc czy powieszony? Nie dano mi czasu do zabrania torby i wywleczono na pomost — ścisk, natłok — parniezośny, otoczyli mnie zewsząd, depcą po nogach, szturchają, a wszystkim tym mniej przyjemnym gestykulacyom towarzyszy

jednogłośnie z wszystkich ust wychodzące pytanie: co słyhać w Wiedniu? Nie mogę ani ręką ani nogą ruszyć, ani na przód ani w tył postąpić, czuję że mi ktoś chustkę z kieszeni wyciąga, krzyczę, ale siebie samego nie słyszę. Drugi sięga mi do kieszeni po zegarek, a nie znalazłszy darzy mnie na poczestne okropnym szturchańcem w bok. A ja stoję jakbym był w ziemię wkopany, otulam się płaszczem i wyciągam głowę abym się nie udusił.

Wtem fala pcha mnie naprzód — ktoś krzyknął wskazując na mnie; ten z Wiednia przyjechał! Na wagon, na wagon, zewsząd odezwały się głosy i niewiem jak, niewiem którądy wpakowano mnie na wagon. Odetchnąłem, spojrzałem do koła. — Czarno i jak mrowia nabito, żebyś śpilki nie wepchał — zewsząd wystają głowy, kapelusze, mycki żydowskie.

Co słyhać w Wiedniu — mów co słyhać — Uciszyły się tłumy w jednéj chwili — mam mówić. — Co ja im powiem — O rewolucii wiedeńskiej nie słyszałem, więc otwieram usta i krzyczę:

Nic nie słyhać — wszystko spokojnie — wojska bez liku.

Szwarcgelber — lotr —

Ależ moi Pa . . . . Zuowu hałas, krzyki, odgrazania.

Z Warszawy jadę, moi panowie!

Tu nie ma panów, zakrzyczano!

Obywatele — z Warszawy jadę obywatele —

W Warszawie spokojnie — o rewolucyi wiedeńskiej nic nie wiem.

Szwarcgelber — na latarnią — precz z nim — On z Wiednia przyjechał — widziałem go jak . . . . Znam go — Dajcie go tu — precz z nim.

Niewiem co tam chciano ze mną zrobić — niewiem co by ze mną zrobiono, bo uważałem że odwaga ich coraz bardziej rosła i im w większej ciżbie się widzieli, tem śmieliej przystępowali do mnie. W tem na drugi wagon wyskakuje jakiś młodzieniaszek w zielonym kubraczku, z piórem na głowie i szabelką u boku. Wreszcząc w niebogłosy, wiérzgając nogami, rękoma, zwrócił nareszcie na siebie uwagę publiczności. Znowu się uciszyło — odstąpili odemnie, a młodzieniaszek w zielonym kubraczku tak zaczął mówić:

„Obywatele! sprawa święta, sprawa postępu, demokracji tryumfu ludu — sprawa . . . . tryumfuje. Wiedeńczycy górażą.“

„„Wiwat — niech żyją Wiedeńczycy!““

„Wiedeń tryumfuje. Cześć tym dzielnym bohaterom którzy dowiedli że ręce nawykłe do pracy — ręce spracowane — ręce . . . . te mówię potrafią uchwycić za dzielny kord i najeżone hordy tyranów rozpędzić. Cześć Wiedeńczykom!“

„„Wiwat — Niech żyją Wiedeńczycy!““

„Obywatele — jadę prosto z Wiednia — przyjechałem umyślnie aby was o wszystkim uwiadomić — widziałem wszystko na własne

oczy. Wiedeń skruszył kajdany niewoli —  
W ciągu całej drogi ani jednego żołnierza nie  
spotkałem.

Brawo — śmierć najemnym żołdakom., Tu  
radosne okrzyki długo oratorowi ust nie dały  
otworzyć.

„Za kilka dni obaczycie Obywatele legiony  
Wiedeńskie — Jellaczyc powieszony — Win-  
dischgraetz rostrzelany. Razem zemną Obywa-  
tele! Niech żyją Więdeńczycy!“

Niech żyją Więdeńczycy!

Po téj oracyi szanowny mowca zszedł z wa-  
gonu — obstąpili go wszyscy, poczęli ścisnąć,  
całować — Zwolna rozeszły się tłumy a tu  
i owdzie słyhać było liczne okrzyki: Niech ży-  
ją Więdeńczycy, Niech żyje Demokracya!

Zszedłem i ja powoli z wagonu a odebra-  
wszy rzeczy, kazałem się zawieść do hotelu.

Potrzebowałem odpoczynku — rzuciłem  
się więc na łóżko trzy czy cztery razy poprze-  
dnio zadzwoniwszy. Chciałem skupić myśli, u-  
porządkować w głowie cały ten obraz, który  
tak plastycznie mignął się przed memi oczyma  
— ale kelnera nie widać a nad wszelkie rozu-  
mowanie, nawet nad mowę wyżej zacytowa-  
nego oratora przeniósłbym w owej chwili por-  
cyą beefstyku i filiżankę herbaty. Nareszcie po  
półgodzinnem dzwonienu (miara mniej więcej  
zwykła w Krakowie), po godzinnem oczekiwa-  
niu, przyniesiono befsztyk, herbatę, a ułatwi-  
wszy się z tém wszystkiem, rozłożyłem się

jak tylko można najwygodniej i zapaliłem cygaro.

Ciągle mi stoi na myśli ten obraz w banhofie, te tłumy z zaostrzoną ciekawością, ten mówca w zielonym kubraczku. Nie wiedziałem czemu się bardziej dziwić, czy bezczelności oratora, czy też dobroduszości słuchaczy. Uważałem to później że Krakowianie są bardzo łatwowierni — w przedmiocie politycznych bajek. W ciągu półroka niespełna, które przebyłem w Krakowie, przynajmniej z dziesięć razy zrobiono krwawą rewolucyą w Petersburgu, z 15 razy ogłoszono Ledru-Rollina Dyktatorem, nawet królową Wiktoryą z Londynu wypędzono. Choć się drugi, trzeci i dziesiąty raz wieść okaże fałszywą, zawsze nowa ploteczka znajdzie wiare, a szczególniej téż bajki ustne — bo gazetom nie tyle wierzą. Gazety piszą nieprawdę, gazety są płatne, ale ten oto Pan w przeszłym tygodniu przyjechał ztamtąd i mówił Panu temu, a ten Pan mówił Panu sędziemu — mnie zaś Pan sędzia sam opowiadał. Jako żywo, to całkiem inaczej, odzywa się drugi, ja słyszałem od jednego oficera. A ja od Konduktora co przyjechał z Mysłowic. I cóż mówił — co mówił? W ten sposób wieść prędzej niż telegrafem rozchodzi się po całym mieście — bo usta plotkarzy szybsze są od telegrafów.

A cóż ten kelner — czemu on nie wychodzi? — sprzątnął ze stołu zbliża się do mnie, co to będzie?

Pan przyjechał . . .

A jak widzisz przyjechałem.

Ale Pan z Wiednia przyjechał.

Nie mój kochanku z Warszawy.

Z Warszawy — ej ja myślałem że z Wiednia.

Z Warszawy — z Warszawy.

A proszę Pana cóż słyhać w Warszawie?

Nie — spokojnie.

W Warszawie spokojnie; a u nas to nie.

A cóż u was?

W Wiedniu się biją!

To w Wiedniu, nie u was.

To wszystko jedno proszę Pana, bo oni się za nas biją.

Doprawdy?

A tak proszę Pana! Jak się zrobiła pierwsza rewolucya, tak tam nasi pojechali i powiedzieli Cesarzowi że oni się teraz z nim nie chcą bić, ale niech Cesarz da im wojska, to oni się urządzą i pójdą na Moskala. Więc Cesarz im nic nie odpowiedział, tylko zwłóczył i zwłóczył — aż się Węgrzy za nami ujęli. Dopiero obaczono że źle i chciano się wzięść ostro, ale już było zapóźno. Cesarz powiedział że z tych prózb nic nie będzie. Tak nań się rozgniewali i poszli do Wiedeńczyków i opowiedzieli im to wszystko, więc téż Wiedeńczycy zrobili rewolucyą i wypędzili wojsko.

I cóż dalej!

A nie proszę Pana. — Cesarscy zbierają wojsko, zciągają go zewsząd — ale Wiedenczy-cy mają tysiące i Węgry im téż zaraz pójdą na pomoc. A tymczasem przyszło z Wiednia że-

byśmy zrobili rewolucyą, więc jak tylko wojsko wyjdzie tak my zrobimy rewolucyą i wszystkim — wybijemy.

A kogóż kiedy wojsko wyjdzie?

To nie — ale zawsze zrobimy — czy Pan był kiedy w rewolucii?

Nie mój kochanku — nie byłem.

Szkoda Panie, jeżeli się tu Pan dłużej zatrzyma to Pan zobaczy.

I cóż będzie jak zrobicie rewolucyą?

Wtedy przyjdą Więdeńczycy i Węgry za nimi i pójdą na Moskala, a my tymczasem się urządzimy i dalejże za nimi. Dopieroż to bój na prawdę się rozpocznie.

No proszę — i to wszystko u was piszą w dziennikach?

A zapewne — muszą pisać.

To ty czytać nie umiesz?

Nie proszę Pana.

I zkądże wiesz o tém?

Oto proszę Pana ja chodzę do jednego sklepu na piwo — tam téż chodzi jeden Redaktor — Pan wie co to Redaktor?

Cóż takiego?

Ten co pisze gazetę — on wszystko wie — co było i co będzie. Więc jak go kiedy zastanę, tak potraktuję piwem i on mi to wszystko powiada. Jeżeli Pan chce to ja Panu go kiedy pokażę i zaprowadzę do sklepu.

Dobrze — dobrze — dobra noc Ci.

Dobra noc Panu, a o której Pana obudzić?

Ja się sam obudzę. — przyniesiesz herbatę jak zadzwonię koło dziesiątej.

Dobra noc Panu.

Poszedł. O mój Boże! nie wiedziałem czy śmiać się czy płakać. Wszakżeż to człowiek z ludu którego nie stać na przebiegłe kombinacye.

Ta nizeczemna pasożytna polityka wsiąkla już w ostatnie warstwy społeczeństwa, napoiła je już tchórzostwem i utworzyła politycznych darmozjadów. W jednej chwili pojąłem tę ciekawość i niespokojność całego ogółu mieszkańców. Miłość plotek i nie więcej.

Za nadto słabi i bezduszni aby mieli sami stanąć w kole wypadków wstrząsających całą Europę, za nadto samolubni i tchórzliwi aby o własnym myśleli czynie, a za nadto chciwi aby siedzieli spokojnie i nie korzystali z cudzych poświęceń, kiedy ich na własne niestać!

Cóż kawkom do tego że się tam gdzieś biją jastrzębie, kiedy ich skrzydła za małe do lotu a piersi i szpony za słabe do gromu! —

## V.

**Z**nowu lżymasz się na mnie, wolisz że krzywdzę naród, i kalam własne gniazdo. O, było

niegdys to gniazdo nieskalane; ale orły z niego uleciały, i brzydkie ptastwo w niem się zagnieżdżyło. Nietoperze! wy się gniewacie kiedy wam ktoś przypomni żeście myszami że wasze skrzydła udane i że się słońca lekacie. Ja nie kałać was, ale światłością ducha mego chciałbym wypędzić te ptaki nocy, potęgą mego uczucia rozpalic wasze szklanne oczy i woskowe twarze. Czy widziałeś kiedy sokoła w uatężonym polocie gdy piersiami uderzył o głaz?

Taka moja przeszłość.

Gdybyż to jeszcze krwią odwilżyć można tę spiekę — ale na grób mój posypalibyście kwiaty, i potem spać się pokładli. Zamiast czynu wywołałbym w was strach. Nacóż więc tyle mogił uświęconych ofiarą, naco tyle pól zasianych kośćmi, kiedy z tych kości powstałi niewolnicy. — Marnotrawstwem jest żyć między wami i umierać za was. —

Narodzie zdemokratyzowany! Oczy twoje jako oczy jastrzębie szukają wszędzie zéru. W końcu każdej myśli i każdego czynu widzicie tylko siebie. Wystawiliście kramy polityczne, idźcie więc po tem błocie, w którem ruch jest nowem dla przeszłości bluźnierstwem, nową dla téj ziemi hańbą!

A wy mistrze dzisiejsi narodu, apostołowie egoizmu, zbierajcie wasze żniwo; głosiliście ewangelią zysku, śpiewaliście hymny samolubstwa, kazaliście pracować dla *własnej* korzyści, i dziwicie się że ucnie wasi przeszli was i w nieczynności chcą też same zyski osiągnąć. Na

co tyle zachodów do tak bliskiej mety; oddajcie się tym na których z cicha warczycie, a oni was utuczą i w stajni swój wygodnie chować będą.

To czem się dzisiaj karmicie może was natchnąć tylko podłością. Jeżeli rozumem waszym jest zysk, to największym nie rozumem iść na bagnety. Poddajcie się więc dobrą wolą a będziecie mieli wasze niebo za ziemi.

Jakoście się zrzekli zasad tak się téż zrzeciecie imienia Polaków. Nie zysk ani pycha pchała ojców waszych na wrogów, oni służyli pospolitej rzeczy, bo im tak kazało poczucie obowiązku. —

Taka jest różnica między patryotyzmem a demokracją — taki jest przedział między nimi a wami. Ich ojczyzna płynęła w pocie i krwi, wasza uśmiecha się wam w dobrym bycie. —

Wy nie macie już innego języka — utuczone ciało, to ideał waszego szczęścia — a dobry byt, bańka waszej próżności, miarą poświęceń. Więc téż co najwyżej w imię dobrego bytu zakłąć umiecie.

## VI.

**I**m mniejszy jest człowiek tem więcej dba o opinią drugich. W żadnym mieście nie wi-

działem żeby robili tyle dla oka ludzkiego co u was. Wszystko, wszystko cokolwiek czynicie oglądacie najprzód jak to ujrzą, co o tem powiedzą.

Oko ludzkie ma być zwierciadłem waszjej wartości.

Może wy mnie niezrozumiecie, boście tak już do fałszu przywykli, iż wam się zdaje iż szata w której chodzicie służy jedynie do pokrycia waszych brudów. Życiecie kłamstwem, uczycie się wciąż kłamstwa, wychowanie waszych dzieci na kłamstwie zasadziliście, nie pojmujecie jakby to można niekłamać. Pomyślcie jeszcze chwila w waszém życiu w którejbyście nie myśleli o zwodzeniu drugich?

Ludzie blichtru ażali nie pomyślicie że droga prawdy jest prostsza i łatwiejsza, ażaliż nie pojmujecie że można być i z drugim tak jak się jest z sobą samym, że i przy drugich można głośno myśleć.

Niewola rzuciła ziarno, które na gruncie waszjej małości, bujnie się rozrosło. —

Wszystkim kłamcom chodzi przedewszystkiem aby ich za kłamców nie wzięto — gdyby więc u was była choć część prawdy nie narzali byście się tak w błocie aby ujść za czystych, niegonilibyście tak za efektem, nie szło by wam tak o światło zewnętrzne jak o ciepło wewnętrzne. Ale do czegoż taka igraszka; jesteście wszyscy o sobie przekonani jak mało wari jesteście, nie wstydzicie się być złymi, tylko się ukazać złymi wstydzicie. Zdejmcież

aby na chwilę brudną pozlotę, przyznajcie się do tego jawnie co jest waszym Bogiem, przyznajcie że w sercu nikogo oprócz siebie pomieścić nie możecie, że w głowach waszych gnieźdzą się nocne ptaki przesądu, a będziecie wyższymi, bo bliższymi prawdy. Ale wy wiecie jakimi być macie, wiecie coście czynić powinni bo o tem cały dzień prawicie udając jakobyście czynili, znacie więc prawdę boście ją wytarli na waszych ustach — ale jój nienawidzicie.

Macie więc poczucie waszej małości i wyższości do której się wznieść nie możecie. Zastanówcież się, jest że u was dużo innych bodźców nad opinią które was na drodze téj biernej poczciwości utrzymują; chyba wasza bezsilność. Bo jużciż do złego trzeba siły, a kto nic zrobić niejest w stanie, ten nic złego nie robi. Te są pomiary waszego życia.

O gdybyście wiedzieli ile szczęścia daje uczucie spełnionego obowiązku, gdybyście dla tego uczucia aby jeden w życiu postawili krok którybyście przed okiem drugich utaili, gdyby *powinność*, ale sama tylko *powinność*, aby jeden w was wywołała czyn, życie wasze byłoby inne! Dzisiaj bawcie się w opinią — kłamstwem kupujcie sobie nazwę prawych obywateli, zacnych patriotów, *pocziwych* ludzi, ale opinii téj nie wystawiajcie na próbę, bo przekonacie się że prócz was, nikt w nią nie wierzy! —

nie rano jego przylbiecie do krzyża opłani  
 — za to nie śmiały się do mędractwa

**D**rzemiący ptak demokracji osiadł na waszych murach i szerokie skrzydła ciemności rostoczył nad wami. Wygodnie wam pod niemi, światło słońca mi dojdzie ócz waszych, przez gęste pióra cieplejsza myśl, silniejsze tętno w głowy i serca wasze się nie przedrze. Wygodnie wam spać pod niemi.

Ale niechno kto nad głowy strychowane podniesie się jeden cal wyżej, niech was przeorośnie, niech was zaćmi majątkiem, zdolnością, sercem, o biada mu, zakraczecie go jako wrony. Zazdrość nieda wam spać, próżność i miłość własna klóć będzie i dziobać, dopóki lotniejszego ptaka nie wygoni z pośród siebie. Każden bogatszy u was arystokratą, każdy zdolniejszy szpiegiem, każdy poćciwszy głupcem, a każdy gorętszy waryatem. Nie możecie ścierpieć żadnej wyższości, ale na nieszczęście patrząc na nią nie myślicie podnieść siebie, tylko *wyższego poniżyć*. Głowy i serca muszą być u was kroju jednego krawca.

Biada temu kto was czem zaćmi; ile jest żółci w brudnych paszkwilach, ile jadu w waszych sercach, tyle nań wyzioniecie. Zabłoceni patrzeć na czystego niemożecie, a choć niezdołacie zbrudzić jego ducha oplujecie jego imie, pokryjecie go wszelką hańbą, wszystko do czego byście sami byli zdolni na karb jego włoży-

cie, ramiona jego przybijecie do krzyża opinii — za to, że śmiał być lepszym albo mędrszym od was.

A do tego wyroku niewiele potrzeba; kto zna własną godność i wartość czasu, kto wazemi plotkami się niebawi, kto z wami nie deklamuje, z wami nieszuleruje, i nieupija się, ten już przeznaczony wam na ofiarę. Opinią wasza jest odwrotną miarą wartości człowieka, im kto bardziej spluty, tem pewno wyższy jest i godniejszy szacunku.

Straszna to męka żyć między wami, być wciągniętym w koło waszego społeczeństwa i od was zawisnąć. Trzeba studiować drobne zakresy waszych myśli i uczuć, trzeba się uczyć waszych zwyczajów, waszego języka, sposobu życia, ubioru, chodu, i t. d. kto w czemkolwiek poważy się uchybić stereotypowej regule, ten już jest potępiony.

Podbiegunowe zimno zamroziło tę ziemię, dno jej nigdy nie odtaje i nieda się zapuścić korzeniom wynioślejszego drzewa. Gdzie kozodrzewina panuje, tam dąb nie wystrzeli, a orzeł gnieździć się niebędzie, gdzie sowy nocują.

Śpijcie więc ludzie umierzonych głów; nie myślałem was budzić bom wiedział że tego nie dokażę, a głos który mi z piersi wyleciał jest tylko jękiem rozbitej harfy, pęknięciem struny wiążącej swe życie z nadzieją. Krzyk rozdartej duszy, boleść zawodu i rozpacz jest moją mordercą do Boga, która mi się gwałtem wyrrywa,

i w samym nawet zwątpieniu o ludziach każe szukać jego uznania. Ducha ożywczego musi być uczczeniem to, co wam jest potępieniem!

### VIII.

**C**hcesz się dowiedzieć co sędzę o waszych kobietach. Widziałem brudne gospodynie, mamki, piastunki, widziałem kucharki, panny i żony wasze, widziałem nudne literatki, nudniejsze patriotki, demokratki, dewótki i bajczarki, widziałem wiele tego rodzaju stworzeń, ale *kobiety* nie widziałem.

Nie widziałem ducha co by kładł siebie za drugich, nie widziałem ofiary — jakżem mógł widzieć kobietę? Nie widziałem serca coby płonęło uczuciem, nie widziałem miłości, jakżem mógł sądzić że są między wami kobiety?

O gdyby były, *was* by niebyło, bo byście byli innymi, azaliż anioł żyć może między bydlętą, azaliż kwiat kwitnąć może w ziemie i ciemności, azaliż sowy i nietoperze nie zduszają swemi skrzydłami światła które wniesiesz w ciemny sklep?

Po co wam kobiety, co by one między wami robiły! Azaliż duch nienjęty może się nagiąć w wasze foremki, azaliż uczucie da się obrachować i obuć w wasze prawidła, azaliż ogień

gorejącego serca, da się zastósować do waszych rozmiarów.

Po co wam kobiety, po co wam ideały. Wam w górę iść nie trzeba bo tylko w błocie żyć umiecie, a co nie błotem tego wasz rozum niepojmie. Wam nie trzeba aniola w którego objęciu moglibyście się zanielić, dla ciała waszego potrzeba bryły ciała.

Gdzie niema miłości, naco kapłanów miłości, gdzie nie ma ducha naco mu dźwigni, gdzie nie ma pragnienia na co tam wody! Czego wam trzeba to macie! Azaliż w gabinecie woskowych figur nieczujecie się u siebie.

Wy się z nimi zrozumiecie, bo wspólne wasze potrzeby i jednaki ich zakres wytknięty ciałem. Wy wiecie czego wzajemnie pragniecie, a wszystkie wasze żądze od razu policzyć się dadzą. Wszelki duch wybiera stosowną formę i odpowiedni strój; wy życie kłamstwem mielizbyście u siebie ducha prawdy? Jest że prawda czem innem niż miłością?

Dla tego kobiety wasze, są fałszem formy i mistrzyniami fałszu, nie mają miłości nie mają prawdy i sieją obłudę!

Albo téż zeszyły do rzędu machin i są młynkami które to zmielą co wnie nasypią. Bezdu-szne owce ze szklaną źrenicą.

A teć są lepsze od tamtych bo kłamstwem bezwiednem nie psują, i są jako miotły które w domu czynią porządek.

Ale ani w jednych, ani w drugich nie ma ducha *kobiety*.

Co mi tam po ich patryotyzmie! — Jakże kochać mogą naród kiedy w nich niema miłości dla jednego człowieka. Jch stać tylko na nienawiść dla wrogów, a nienawiść ta wam jest wspólna i zowie się patryotyzmem. Gdybyście mogli nie nawidzieć.

Co mi tam po ich pobożności — Jakże kochać mogą Boga kiedy niema w nich miłości dla ludzi. Jm modlitwa potrzebna jest do strawności jak filiżanka kawy po obiedzie.

Co mi tam po ich cnotach domowych, gorzka, gorzka ironia! Wolę kobietę uliczną, bo w niej niema fałszu, a jej bezwstyd jest tylko koniecznym warunkiem utrzymania życia.

Cóż mi wreszcie po ich wychowaniu kiedy jest hipokryzją, kiedy ma oddawać to czego im niedostaje i być wędką i oszczerstwem.

Jestże w nich co więcej jak fałsz wcielony. Zamiast podnosić poniżają ducha, a najwyższą świętość miłości, modlitwy, patryotyzmu, profanują i bezczeszczą.

Godniście siebie, słuszna wam stać do pary!

### IX.

**T**ą razą powiem ci o wychowaniu panien, opiszę sposób kształcenia na pensjach, a nie będę ich wymieniał pojedynczo, bo wszystkie jednakowe.

Czy sądzisz, że która z tych dam trzymających pensye, ma na celu swoje uczennice, myśli rzeczywiście o rozwoju ich serca i umysłu, ma nawet pojęcie o swoich obowiązkach, o stanowisku kobiety?

Bynajmniej; pensjonat w Krakowie jest tylko rodzajem zarobku. Jedne żyją z własnego majątku, drugie z pensji mężowskich, inne zakładają warsztat, sklep modny, inne pensyją, a inne..... ale dość już na tem, wszystko jest zarobkiem.

Każda z tych pań, zakładając pensyją, powiada sobie, muszę wyżywić siebie, a często męża i dzieci, a w końcu zaś roku schować 2000 lub 3000 do kieszeni.

Ale jak tego dokazać, aby i matkom się spodobać i publiczności dowieść, że się nie stoi o zysk, i w końcu zyskać parę tysięcy. O ileż na to potrzeba dowcipu i przebiegłości!

Rząd wymaga od nich egzaminu, a podobno i bez egzaminu daje upoważnienie. Każda z tych pań musi umieć język francuzki, ortografią polską i trochę wiadomości z historii. O rachunki nikt nie pyta, bo wszyscy wiedzą, że kto zakłada pensyją, musi umieć dobrze rachować.

I oto wszystko — ale przed kim damy te, zdadzą egzamin ze swego serca, przed kim z teoryi swych obowiązków!

Kogóż taka kochać może, jakże wychować dziewczynę, nie znając miłości, a surowa opinia wymaga jak największej skromności, nie-

skalanéj cnoty i moralności. Oko ludzkie i reputacya nauczycielki!

Czego nie dojrzy oko ludzkie, co nie dosięgnie reputacyi, nie skala kararyjskiej cnoty tych pań w opinii miasta, w to sobie brnij do woli, hulaj, baw się bez wędzidła! Tylko mężczyznu w domu nie przyjmuj, z kawalerami nie witaj się na ulicy, do kościoła chódź regularnie co tydzień, o Austryakach słowa dobrego nie powiedz, o panach mów z przekąsem — a piękna pani możesz być pewna najlepszego powodzenia.

Trzeba więc ciągle pokazywać, że się na zysk nie uważa, że się wydatki czyni duże, że się nauczycieli trzyma wielu i płaci dobrze, że się na książki i mapy nie żaluje, że panny cały dzień mają lekcye, że się uczą pięciu języków i dziesięciu nauk, tańców, śpiewu, grania, robót kobięcych, rysunków i t. d. A targować się z matkami nie bardzo wypada, bo pensyi jest tyle, więc lepiej wziąć coś, niżli nic.

Według różnej stopy pensyi, płaci się od jednej dziewczyny złtp. 15 do 30. Jeżeli panien jest 20, w średnim przecięciu biorąc po złtp. 20, wypadnie summa złtp. 400. Summa ta ma wystarczyć na opłacenie nauczycieli, oszczędzenie i utrzymanie życia.

Ale w programie nauk, spis przedmiotów wyraźnie ułożony:

Nauka religii, moralności i historii świętój, języka polskiego, literatury polskiej, języka francuzkiego i literatury, języka niemieckiego

i literatury, historii powszechnej i polskiej, geografii fizycznej i politycznej, arytmetyki, nauk przyrodzonych (do których się liczy fizyka, chemia, zoologia, botanika, mineralogia), kaligrafii — oprócz wymienionych poprzednio.

Każda z tych pań radaby sama wszystkiego nauczyć, ale kiedy tu idzie o to, aby ludzie wiedzieli, że są nauczyciele mężczy, znający przedmiot dokładnie!

Bierze się więc do religii księdza, do polskiego, niemieckiego i kaligrafii po jednym nauczycielu i tym daje się po godzinie lub dwie w tygodniu. Płacąc ich co najwięcej po 2 złtp. na godzinę, wypadnie miesięcznie 40 do 50 złtp. Za muzykę, rysunki, śpiew, taniec, panna okazująca skłonność do *nabycia tych talentów*, płaci osobno. Reszty zaś nauk, to jest francuzkiego, historii, geografii, arytmetyki i nauk przyrodzonych i t. d., daje sama Madame lub ktoś z domu, któremu płacić nie potrzeba. Cóż z tego, że nauczyciele płatni po złotówce w ciągu 40 lub 80 godzin rocznie, mało co, albo nic nie nauczą, cóż z tego, iż dziewczę, wyszedłszy z pensyi, zachowa w pamięci, oprócz francuzkiego, kilka wiadomości, których się gwałtem na popis nauczyła, kiedy na egzaminie występują sami tylko nauczyciele, Madame słucha z kilku jedynie przedmiotów, i komedia umówiona najprzód, kilka razy wypróbowana, udaje się doskonale.

Lecz jeśli dochody nie starczą, utrzymująca pensyą przez cały rok, wyklada tylko sama

i tylko przy końcu roku na miesiąc lub dwa bierze nauczycieli, aby się z nimi na egzaminie pochwalić. A jakto tam idzie ten wykład nauk, co tam płytkości, oszustwa, szarlatanery. Bo i kóż pannę będzie egzaminował z historii? kto ją zapyta o szczegóły jeograficzne i t. p. Jeśli się nauczy po francuzku, co najłatwiej może uledez krytyce, jeśli pisać będzie kształtnie i ortograficznie chociaż bez sensu, to bardzo dosyć, reszta dzieje się tylko dla popisu. Bo i cóż po historii, aby dziecko zagrzeać szczytnemi obrazy przeszłości, aby podnieść jego ducha i obudzić miłość pięknego, młode serce karmić wzniosłemi przykłady; na to trzebaby sumiennności, trzebaby uczciwości, trzebaby prawdy, a przedewszystkiém nauki. Kto jój sam niema, musi trzymać nauczyciela, dać mu codzien godzinę i płacić 50 lub 60 złtp. miesięcznie. A tu bilans na wszystkich obliczony w summie złtp. 50. Jakże więc począć?

Zaraz opowiem. Czy dziewczę [poprawi się lub zepsuje, czyli dla serca znajdzie jaki pokarm, czyli z żywego faktu może sobie utworzyć jaką zasadę moralności prawdziwej, o tem nikt przekonać się nie jest w stanie. Po cóż więc robić to wszystko, kiedy nikt wiedzieć nie będzie, a przecież potrzeba pokazać, że panny uczyły się historii?

Następuje więc konferencya z nauczycielem, bierze się pierwszy lepszy okres, piérwszy lepszy naród i każe się go uczyć w ostatnim miesiącu na pamięć; np. że Karól Wielki uro-

dził się tego roku, wstąpił na tron tego, pobili tych i tych, ukoronowany cesarzem, kochał nauki i umarł tego a tego roku; albo, że w Egipcie panowali Psammetych i Sezostrys, że pod Kairem są piramidy, na których hieroglify, a wewnątrz są mumie czyli ciała ludzkie, przed kilkoma tysiącami lat zabalsamowane; albo, o Mahomecie lub o Romulusie, Kanucie lub Ruryku. Panny odpowiedzą wybornie co umiały i na tem się kończy egzamin z historyi. A z historyi polskiej — „tacy byli królowie, Bolesław Chrobry był bardzo waleczny, i cesarz Otto go ukoronował, a Bolesław Śmiały zabił Ś. Stanisława, a Krzywousty umarł tego roku, a Kazimierz W. był sprawiedliwy, jego zaś ojciec był wzrostu małego i t. d.“

O co tu pożytku dla serca i głowy! o jakto panna będzie mędrszą i lepszą, kiedy się dowie o dacie śmierci lub niskim wzroście Łokietka.

Szarlatany, Szarlatany!

Ależby mi nie szło o naukę, gdybyście serca tych dziewcząt kształcili. Duch kłamstwa wieje po tych zakładach, formy przyzwoitości i bojaźni opinii, jest zasadą całej tam moralności.

Panny mają się wtędy a wtędy rumienić, mają w oczy mężczyznom nie patrzeć, w ich obecności być bardzo skromne i mało mówiące, ze zdaniem się nie odzywać, trzymać się prosto, kochać rodziców i braci, idąc przez ulicę nie oglądać się, a w kościele patrzeć w książkę do nabożeństwa, dygać zrećnie i miłostek się wystrzeżać. Zdawałoby się, że z Teheranu lub z A-

namu sprowadzono nauczycieli, którzy uczą ceremoniału i obłudy.

Jeżeli ścinają dzieciobójczynie, czemu nie ścinają matek, co córki swoje oddają na takie pensye? jeżeli rajfurki nierządnic piętnują publicznie, czemuż takich pań, trzymających pensye, nie stawiają pod pręgierzem?

Szarlatany i zbrodniarze!

## X.

**J**aką jest szkoła, takim jest wychowanie, jakim jest to dziewcze z pensyi, taką będzie żona i matka, a jaką jest kobieta, takim jest społeczeństwo.

Nie dobrze, powiada pismo, aby człowiek był sam. A ja wam powiadam, stokroćby lepiej było, gdybyście byli sami; boć jeśli obcowanie będzie was psuło, jeśli schodząc się razem, zbiegacie się dla waszego ciała, a nie dla ducha, jeżeli na to macie sobie podawać ręce, abyście głębiej w błoto grzęzli, jeśli społeczeństwo ma być wam pobudką do fałszu, a nie pomocą w szukaniu prawdy, jeśli nie miłość bliźniego, ale miłość własna wiąże was razem, jeśli nie potrzeba kochania, ale potrzeba nienawiści, tworzy między wami koła, to rozejdźcie się na nowo i życie samotnie jako zwierzęta.

A jeśli samotnie żyć nie możecie, to znać, że kogoś więcej niż siebie kochać powinniście. Zatem wchodząc w społeczeństwo, na pierwszym jego stopniu, winniście z siebie złożyć ofiarę i mieszkanie serca swego oczyścić dla drugich. Toć jest najwyższe moje prawo, zażądał Chrystus, idąc na śmierć: miłujcie się między sobą.

Tamci zabili Chrystusa, wy byście go zamknęli do domu szalonych.

O ludzie! wyście zepsuli naturę człowieczą i wspaniałe czynicie jej prawom. Zastanówcie się! cóż jest warunkiem waszych towarzystw? po co się schodzicie między sobą? Jeśli człowiek dziki, mieszkający w lasach i puszczech afrykańskich, staje się podobnym zwierzęciu, wy skupiając się razem, jesteście gorszymi od zwierząt. Wychowanie narzuciło maskę na wasze twarze, a ktoby w głąb waszych serc zajrzał, ktoby chciał wiedzieć, co tam w was gra gdy sobie ręce ściskacie i kłamliwym uśmiechem witacie się wzajemnie, z przestachu cofnąłby się, i wolałby sobie oczy wydrzeć, niż być skazanym na taki widok obrzydły.

Próżność i złość ciągnie was do siebie. Chcecie się udać za coś lepszego, niż jesteście, i stroicie wasze głowy, serca i ciała w suknie balowe: uczucia wasze różujecie grzecznością, a skoro siebie nie możecie podwyższyć, bluzgacie jedni na drugich, aby ich poniżyć. Każda godzina obcowania czyni was gorszymi — wartoć się wiązać w towarzystwa? Wy w wa-

szém mieście nie jesteście lepsi od drugich,  
aleście mniejsi, więc macie więcej śmieszności  
i drobnostek.

\*

\*

\*

Duchu świętny, brylantowy, o aniele, co  
w tęczowych skrzydeł locie, z serca swego sy-  
piesz ziarna, krwawym bolem orzesz pole, tre-  
ścią ducha, łzami swemi, skrapiasz ziemię tego  
serca, za które duszę swą kładziesz — gdzie-  
żeś, gdzie duchu — aniele?

Duchu świetny! co na formę zbierasz jasne  
liście kwiatów, zbierasz wonie łąk majowych,  
zbierasz błyski barwnych tęczy, zbierasz tony  
harmonijne — gdzieżeś, gdzie duchu — aniele?

Duchu promienny, kwiecie stworzenia, święty  
łańcuchu ziemi z niebiosy, co spływasz na zie-  
mię, byś ją kochała i miłością niosła do Boga,  
i usty swemi i sercem swoim wlewała w nią  
dech anielskości, i wszystkich ludzi wiązała  
wieńcem miłości — gdzieżeś, gdzie duchu —  
aniele?

Duchu przezacny, zakładzie świata wyższe-  
go, w którego kraje idziesz miłością i ściągasz  
pokrewne ci duchy, by w twojej formie szu-  
kały formy i stały się ludźmi — duchu twór-  
czy — gdzieżeś jest duchu — aniele?

Ażaliś przestał być duchem ofiary, co gła-  
dzi grzechy ludzkości i wzdrygasz się wieńców  
cierniowych, co cię czekają na ziemi i lękasz  
się twego krzyża, po którym ludzie idą do nieba.

Ażali świat ma wymrzeć i być zaludnion  
wiecznie zwierzęty, ażaliż z milionów nie znaj-

dziesz jednego ducha, po którego formie zesłałabyś na ziemię, ażali niema już miłości dwojga, co by cię zwabiła na świat.

Więc po tęczyowych falach nieba, po drżących promieniach zorzy, po zielonych smugach wiosny, po jaskrawych kłosach słońca, spłyn, o spłyn na ziemię mój aniele; rozwiń skrzydła swe polotne, podaj ręce twe miłosne i do serca przytul choć kamienie. Bo i w kamieniu obudzisz miłość.....

A oni cię nie znają, ani cię kiedy widzieli! Świat coraz bardziej schnie, i staje się jako gliniana skorupa i ludzie chodzą jako zgalwanizowane trupy, bo się poczęli i żyją nie w miłości. I oto mężczyźni zamienili się w martwe bryły, albo wściekle zwierzęta, co się rzucają na siebie i w krwi bliźniego gaszą pragnienie, i oto świat cały jest jakby jednym jeziorem błota i krwi — bo niema ciebie, ducha miłości — kobieto!

Pękły węzły społeczeństwa, głuchy jęk dobywa się z wnętrza ziemi, i nietoperzemi skrzydły ocienił ludzi duch nienawiści. A jedni śpią pod niemi, a drudzy przewalają się w błocie, a trzeci chodzą jako upiory i święcą krwawemi zębami. Straszno i pusto stało się na świecie — bo niema ciebie ducha miłości — kobieto!

---

 XI.

**M**łodzięży! Był czas kiedym leciał do Ciebie jako orzeł, którego długo więziono na piaskach, co rad był ujrzeć rodzinne góry, powitać bratnie sokoły, zmierzyć się z burzą, pójść w zawody z piorunami, ścigać wichry co dęby kruszyły — był czas żem leciał do was z rozwartemi ramionami, i jednym uściskiem chciałem was objąć, pochwycić wasze dłonie, byśmy łańcuchem wiary i miłości ukuci w żelazny zastęp, popchnęli naprzód drżemiące ludy, morza i góry z posad wyrwali, z wnętrzości naszych wyrzucili pożar, coby zapalił całą kulę ziemską, i w jeden ółtarz ofiarny przemienił.

Był czas, że się ruszyły podziemne wulkany, i ziemia trzęsła się i huczała, i nowe ognie buchały i zbutwiałe czerepy waliły się, zasypując w gruzach swoich sowy i puszczyki, co na nich nutę śmierci dzwoniły. Był czas nowych narodzin ludzkości.

A tyś spała o młodzieży! — a kiedy was blask pożaru obudził, toście się ubrali w jaskrawe wstęgi, jakoby goście na obce gody. I żyliście echem cudzego życia, i mieliście oczy i uszy, a rąk niemieliście.

Spadł na mnie wtedy kamień wielki, i ciała nie zabił, lecz skruszył wszystkie nadzieje.

Bom znał, i wyście znali młodzieńców, co cały naród mieli w swych piersiach i wszystkie

jego bóle w serca swe włożyli, i wszystkim jego życiem i wszystką krwią tryskali.

Bom wiedział, że tyle krwi się wylało na ziemię, z której wyszliście, i tyle ofiar uświęciło te pola, bom słyszał, że tyle duchów chodzi po tych niwach i tyle wspomnień gra tam rozgłosną pieśnią, iżem przeczuwał w was olbrzymy, a ujrzałem dzieci walające się w piasku.

Ujrzałem stare dzieci; niedorostków, co brody jeszcze nie mieli, a już im włosy posiwiały, zimne kraterzy, z których ogień nigdy nie buchał, trupów, w których życia nigdy nie było.

I widziałem was zimnych, kiedy się ziemia pod wami paliła, ostrożnych, kiedy powietrze szalało, martwych, kiedy kamienie skakały, tchórzliwych, kiedy dech bohaterstwa wionął po świecie.

I zimno wasze zmroziło ducha mojego. — Młodzieży! czemuś mi odjęła wiarę? Czemuś mi zmasała drogę, którą mój duch wam i sobie nakreślił, czemuś mi wydarła oczy, czemu mi przeszłość tak zciemniała.

Przyszedłem do was z szeroką piersią i nie znalazłem, coby do niej przytulić, przyszedłem do was z gorącą miłością, i zamiast ludzi, zastałem głazy. Chciałem w was widzieć skupione grono, a ujrzałem cienie osobno chodzące.

Na zgniłym ciele jesteście pleśnią, na martwym trupie płamą zgnielizny; ani widzicie odblasku zaszłego słońca, ani słyszycie téj pieśni, co jeszcze dźwięczy odgłosem. Jesteście jednym

tonem pozgónnego psalmu, razem z narodem idziecie za wozem śmierci. Krew w was już skrzepła, mróz na wskroś przejął kości!

A jako w sercach miłości, tak w głowach waszych myśli nie znajdzie. Martwe dla was skarby nauki, i puste kopalnie wiedzy. Światła nie pragniecie, bo wam lepiej błędzić po ciemnościach, wszystko wam obce, wszystko obojętne.

Głos mój was nie obudzi, bo nie słyszycie jęków przeszłości, bo w sercach waszych ani jednej niema struny, coby pod palcem dźwięk wydała, ani jednej iskierki, coby was mogła rozpaścić, ani śladu nawet krwi, coby kiedyś zawrzała. Śpijcie więc pod tym całunem cmentarnym, biedne mchy, na grobie ojczyzny poroście!

## XII.

**C**zas już, ażebym do was przemówił, panowie profesorowie uniwersytetu. Patrzcie na mieszkańców miasta, oto wasze dzieło, oto jakście spełnili wasze obowiązki. Ich nicość jest waszem odbiciem, ich bezdusność miarą waszjej wysokości.

Z katedr porobiliście sobie dostatnie opactwa, i tuczycie wasze ciało, i śpicie na nich. Chciałbym, aby mój głos, głos waszego obowiązku, którego nie czujecie, wzrął się w najgłębsze

tajniki waszego jestestwa, poszarpał wam wnętrzności, i wyrzutem niespełnionego obowiązku wypalił piętno na czole. A jakie? — wy sami o tem wiecie.

Powołani jesteście na to najwyższe miejsce, jakie człowiekowi na tym świecie przeznaczone — z was ma płynąć światło, miłość, życie, z was powinien zajaśnieć ten ogień wulkaniczny, który rozlewa prąd żywotny na całe ciało narodu, w was powinna zajaśnieć ta zorza, która ma rozplomić krzepnący duch społeczeństwa. Winniście jaśnieć, jako wybrani narodu, ten chrzest nauczycielstwa powinien uświęcić wasze oblicze, a na czołach rozpalic słońce, zdolne rozproszyć ciemności całego systemu planetarnego, kraju.

Czemże jesteście mieszkańcy nocy? Gdyby was przyszło przesiać, wieleżby się tam ziarn zostało? wartość wasza i zasługi rozwiałyby się jak proch w powietrzu.

Czemże jesteście dla téj młodzieży? Czyście w niej rozdmuchali zapal do nauki? ogrzewacież wy jój serca, podnosicież wy jój ducha, przyciągacież wy ją do siebie, otwieracież wy jój te szerokie podwoje naukowego świata, staracież się by téż w najmniejszej części o jój wykształcenie, żyjecie z nią aby chwilę, pracujecież dla niej aby jedną minutę w ciągu dnia całego? Czemże wy płaciecie za to zaufanie, które w was położono, za cóż nosicie miano nauczycieli, w czemże odpowiadacie waszym

obowiązkom, gdzie się poświęćacie dla téj młodzieży, dla której życie wasze jest przeznaczone?

Wstępując po raz pierwszy na katedrę, z tą młodzieżą wzięliście ślub, przysięgliście dla niej żyć, i wszystkie skarby waszego jestestwa dzień i noc dla niej wyléwać.

Pasożyty — bezczęściecie wasze stanowisko. Ile wzgardy, ile oburzenia jest w téj chwili we mnie, tyle wam w oczy ciskam. Czytacie wasze lekcye, bo chodzi wam o pensyę, na piersiach waszych fałdujecie płaszcz napuszysty, aby nim zakryć wewnętrzną nicość. Z ust waszych wieje zimny duch egoizmu, a w koło was unosi się jakaś duszna, jadem śmierci struta atmosfera. Jesteście apostołami kłamstwa, bo kłamićcie waszym obowiązkiem, waszemu imieniu, przeszłości tego uniwersytetu, i przechwalkom co rok głoszonym. Nie macie żon i dzieci — bo jedyną waszą rodziną jest ta młodzież, która was słucha, każda kropla waszój krwi, każda godzina waszego życia przez naród jest zapłacona. A pomniecież wy, że w waszych rękach jest przyszły naród, że ile z was weźmie życia, tyle znów w przyszłości zaświeci, z piersi waszych mają wypłynąć przyszłe dzieje. I nawet ta myśl, ten piekielny wyrzut nie zdoła ocucić waszój odrętwiałości, wyrwać was z ospałych nałogów, nie potrafi was podnieść aby na jedną chwilę, do stanowiska, jakie zajmować powinniście.

Jesteście już tak mali, że nawet pojęcia obowiązku nie macie, tak drobni, że próżność wa-

sza nie ucichnie w obec strasznej odpowiedzialności, tak zimni, że serca wasze nad pieniądź, nie gorętszego nie znają.

Nie pomyślicieź ani chwili, że znośniejby dla was być powinno, patrzeć nawet na śmierć głodną waszych żon i waszych dzieci, niż tak okropnie przemieszać się narodowi, zdradzać własne posłannictwo. Czyż ślepoty, którą was obrzuciła miłość własna, nie już zedrzyć nie potrafi, czyliż nie ujrzycie, żeście tych miejsce nie warci?

Kto stanie na waszem stanowisku, powinien lampę życia wznieść tak wysoko, aby się w nią nie wlał żaden kał ziemski, aby się mógł sam siebie zaprzeć, i wiać krzyż swój na barki!

### XIII.

**W**ięc znowu według ciebie jestem niesprawiedliwy, jednostronny, za nadto wymagający. Czyż to moja wina, że ideał nauczyciela, który w piersiach moich nosiłem, tak boleśnie rozbił się o rzeczywistość waszych profesorów. Czyż moja wina, że mam tak wysokie pojęcie o obowiązkach profesora, a wasi są tak nizcy, tacy ospali, zgnuśniali.

Wiecznie jedno i toż samo zwykłe już tłumaczenie, że wasi profesorowie nie mogli narazić uniwersytetu, na którego zniszczenie wszy-

scy czyhali. Fałsz, któremu żaden z nich nie wierzy. Zresztą powiem prawdę, tysiąc razy wolalbym, ażeby zamknięto bramy uniwersytetu, niż żeby miał istnieć takim, jak go widzimy. Przynajmniej oszczędzilibyśmy sobie tego bólu, jaki nikczemność własna sprawiać nam musi. Moznaby powiedzieć: „oto rządy chcą obskurantyzmu, chcą naród ociemnić, znoszą wszystkie szkoły.“ I oto szkoła nie zniesiona, a w obec niej taka ciemność. Wolę nieuków, niżli niedouków!

Ale czyż ja to chcę, aby wasi profesorowie knuli spiski z młodzieżą, aby ją podzegli do powstania? Bynajmniej. Chcę tylko zapalu do nauki, miłości i uczucia obowiązków.

Któryż rząd dla nauki, dla porządnego wykładu nauczycieli, dla ich życia naukowego z młodzieżą, miałby znosić uniwersytet? Cemuż nie zniesiono go w Wiedniu dla tego, że tam nauki matematyczne i przyrodzone kwitnęły?

Słaba wymówka, którą własną miłość pokryć chcemy.

Ale powiedz raczej: nikt nie może dać tego, czego nie ma. Wasi profesorowie nie mogą podnieść młodzieży, bo sami są nizcy; nie mogą obudzić życia, bo go nie mają; nie mogą szerzyć światła, bo pierwszym jego warunkiem jest ruch, a oni żyją w odrętwieniu, nie mogą zaszczyć miłości do nauk, bo w nich jój nie znajdziesz, nie mogą rozbudzić zapalu, bo w sercach ich czczość i ciemność, jak w wypalonych kraterach.

Widzisz, że piszę na zimno, a słowa moje nie biorą innego kierunku, choć innej są mocy.

Przyznajesz wreszcie, że wasi mistrze o stanowisku swoim nie mają żadnego pojęcia, żądasz, abym ich sądził, jako ludzi nauki. Cóż ci na to powiem? Nigdzie takiej odrętwiałości, takiego braku życia naukowego nie widziałem, jak w Krakowie, i to właśnie w łonie samychże profesorów.

Weźmy na przykład Warszawę. W żadnym pewno mieście ludzie naukowci mniej nie otrzymują zachęty, mniej nie mają widoków, a nawet powiem we własnym kształceniu się więcej nie napotykają trudności. Tam katedr uniwersyteckich nie masz, tam nie znajdziesz tych uprzywilejowanych posad, na których siedząc ludzie naukowci, wolni od trosk codziennego życia, z zabezpieczonym kawalkiem chleba dla siebie i dla rodziny, mogą się bez przeszkody rzucić w świat umiejętności.

A ten świat ma tyle powabów, tak chłonie w siebie całe jestestwo człowieka, wszystkiem niemal jego potrzebom wystarcza, że ja sam, gdybym serca żadnego nie znalazł, zamknąłbym się w bibliotece, i z dziedziny myśli już nigdy nie wyszedł.

Stawiam ci więc przed oczy Warszawę, miasto najbardziej może w Europie, co do materialnej strony ludzi naukowych i moralnej pomocy, upośledzone. Chciój ją porównać z twoim Krakowem. A jeśli nie zechcesz, to postaw tylko *Bibliotekę Warszawską* obok rocznika

*Towarzystwa Naukowego Krakowa.* To porównanie wystarczy.

Policz no tych ludzi, co w Krakowie żyją w świecie naukowym, pokaż mi prąd tego życia. A przecież u was jest ze stu profesorów, to jest ludzi, którzy z powołania swego obowiązani są żyć dla nauki. Czy słyszysz? Stu profesorów! Widziałeś te owoce, czytałeś ich dzieła, słyszałeś o zakwitnieniu której umiejętności w Krakowie.

W Warszawie nie ma uniwersytetu, w Warszawie nie ma profesorów, coby brali po 6000 złtp. W Warszawie, chcąc się uczyć, chcąc dzieł potrzebnych nabyć, na tysiączne napotykasz trudności; w Warszawie nie ma naukowych zapisów; rząd żadnego nie daje wsparcia, a przecież w tej Warszawie są ludzie, którzy w każdej umiejętności zasłynęli, którzy dla literatury rzeczywiste położyli zasługi, którzy pracują, uczą się i uczą drugich, bo kochają naukę; bo żyją w świecie naukowym, bo im na katedrach uniwersyteckich drzémac nie wolno. Dla tego w Warszawie wyliczę ci jednym tchem takich, jak Waga Antoni i Jakub, Zdzitowiecki, Jastrzębowski, Łabęcki, Baranowski, Fronckiewicz, Szubert, Oczapowski, Maciejowski Alexander, Lipiński, Baliński, Zagórski, Heylmann, Szwajnitz, Bentkowski, Stronczyński, Skarbek, Korzeniowski i t. d.

A u was kto, między stóma profesorami? Dwóch, czy trzech doktorów, jeden mineralog,

jeden grammatyk, jeden słownikarz, jeden filozof i jeden prawnik i oto wszystko.

Przez cały rok mieliście nieograniczoną wolność druku, i wolność ta zadała wam najcięższą klęskę, jakaście kiedykolwiek we własnej i cudzej opinii ponieść mogli. Pojawilże się u nas aby jeden porządny dziennik, co mówię, aby jeden człowiek umiejący pisać w dzienniku, aby jeden artykuł należycie ułożony? Brudy, śmiecie i ramoty, oto wasza przeszłoroczna literatura.

Wasi professorowie obfitują w dostatki. Pensya uniwersytecka wystarcza na utrzymanie życia, a przecież prawie każdy z nich kontent, że złapał *sinecurę*, jeśli jest doktorem, praktyką zajęty dzień cały, jeśli prawnikiem, adwokatuje i ubiega się za urzędami, jeśli teologiem, czycha na prebendy, jeśli literatem, filozofem, filologiem, historykiem, matematykiem, goni za spekulacyami, i gdzieindziej obraca ten czas, który naprzód już jest zakupiony dla młodzieży.

Dozwól, że się w tem szanownem gronie bliżej rozpatrzę; zyska na tem prawda, że choć raz się wyjaśni, zyska naród, że pozna, jakich tu ma wybranych, zyska młodzież, że lepiej oceni swych przewodników, zyska sumienie każdego Polaka, że wstydu tego dłużej tać nie będzie, zyska wreszcie i tych nie wielu zacniejszych, którzy z powszechnego letargu ocknąć się nie potrafili.

## XIV.

**M**imo usilnego starania, nie mogłem dostać tegorocznego indexu: zapewne nie wyszedł. — Z natury rzeczy wypływa, że indexa powinny być na początku roku szkolnego wydawane, bo inaczej, na cóż się przydadzą? Dla tego téż po innych uniwersytetach gotowe są we Wrześniu, a nawet w Sierpniu, aby publiczność i młodzież mogła się rozpatrzeć w professorach, przedmiotach wykładu i godzinach lekcyi. W Krakowie index wychodzi w środku roku, dla czego? nie wiem; zapewne dla tego, aby zostawić ślad professorów, którzy bez téj wzmianki w wiecznej zagrzęźliby niepamięci. Wybacz więc błędy, jeśli się jakich dopuszczę, pisząc na pamięć — zresztą pomyłki te nie będą nigdy dotykały istoty rzeczy, bo w tym względzie na miejscu w ciągu półrocznego pobytu starannie zbierałem wiadomości.

W tablicy, którą zamyślam ułożyć, chciałem wykazać owoce pracy szanownych professorów, chciałbym i o ich wykładzie nieco pomówić, o ile mi dozwolą moje wiadomości, a nade wszystko o sposobie, w jaki obowiązkom swoim starają się czynić zadość.

Powiesz może, że niewyrozumiały, niegrzeczny. Zgoda na te wszystkie zarzuty, przyjmuje je z chęcią, a to dla tego, iż w sprawie publicznej wyrozumiałość i grzeczność jest dla

mnie niepojętą, że profesora uważam za człowieka publicznego, o którym wolno wydawać sąd, że wreszcie, jeśli w szanownem gronie potrzebny jest ten duch pobłażania, w którym pokrywają się wzajemne błędy, ja bynajmniej do podobnej względności nie czuję się obowiązany. Owszem widzę obowiązek powiedzenia całej prawdy, wzniesienia się nad bezzasadne sympatye lub odrazę, jeślibym mógł mieć jakowe, a nadewszystko podniesienia się do tonu, który z osobistością bynajmniej się nie zgadza. Za nadto krótko żyłem między wami, aby stósunki moje mogły mnie nakłonić do skrzywienia prawdy, za nadto głęboko czuję ważność tego kroku, który dziś stawiam, abyście nie mieli poznać, że nie piszę paszkwilu.

Przez pół roku chodziłem na prelekcye tych panów, a już o nauce nie mówię, ale nie mogę przebaczyć, iż zamiast zachęty, zamiast miłości nauki, z ich grona wyniosłem tylko zobojętnienie i cechującą ich odrętviałość. Byłbym się stał wam podobny, gdybym nie był zmuszony wyjechać z waszego miasta i na niemieckich uniwersytetach nie odżył na nowo, i nie rozbudził w sobie téj iskry, która między wami zagasła.

Przystępuję więc do wydziału teologicznego. Ks. *Leon Laurysiewicz*, S. T. D. P. p. z. Dz. wydziału teologicznego na katedrze od lat 16 — nic nie napisał. Jeden z moich przyjaciół uwielbiał patryotyzm zacnego kapłana, który dowiedziawszy się, że Pol został miano-

wany professorem jeografii fizycznój, zawołał z oburzeniem: „Że też to samych Niemców nam przysyłają.“ To słowo maluje dobitnie, jak dalece szanowny dziekan, który w swoim czasie piastował godność rektora uniwersytetu i prezesa Towarzystwa naukowego, zajmuje się literaturą ojczystą i obeznany jest z głośniejszemi w niej imionami. P. Wincenty Pol nie spodziewał się zapewne znaleźć w ks. Laury-siewiczzu tak patriotycznego kolegi.

Ks. *Karól Teliga* S. T. D. P. p. z. kanonik k. k. professorem od lat 10 — nic nie napisał, imie jego znane nam jest z indexu.

Ks. *Ignacy Penka* S. T. D. p. p. z. k. k. k. mianowany od lat 8 — wydał teologią w 4ch tomach i drobniejsze pisma.

Ks. *Felix Sosnowski* S. T. D. P. p. z. prof-essore od lat 7 — nic nie napisał. Wątpimy, aby obowiązki profesorskie mógł pogodzić z innemi zatrudnieniami, które zupełnie go absorbują i dla tego zapewne pragnie usunąć się z katedry, tem bardziej, że uniwersytet, oceniając jego prace nauczycielskie i literackie, obdarzył go bogatym probostwem Ś. Anny.

#### *Wydział prawny.*

P. *Wawrzyniec Soświński* O. P. D. p. p. z. Dz. Wydz. Praw. professor od lat czterech — nic nie napisał; ale wydział, oceniając jego literackie prace (chowane zapewne w rękopiśmie), mianował go professorem. P. Soświński zajęty adwokaturą, złożony chorobą jedynie z poświęcenia dla kraju, dzierży tę godność, do której

nie ma najmniejszego powołania, i dla tego wkrótce poda się zapewne do dymissyj.

P. *Felix Słotwiński* F. i O. P. D. profesorem od lat przeszło 30 — wydał pisma następujące: *Rozprawa o historyi prawa natury* 1812. *Prawo natury rządowe* 1815. *Rozprawa o sposobie nauczania matematyki elementarnej* 1815. *Prawo narodów naturalne* 1822. *Themis* posz. I. i II. *Ustawodawstwo rzeczypospolitej krakowskiej* 1836. *Institutiones juris ecclesiastici* I. i II. 1839. *Rys postępowania sądowego w mieście Krakowie, porównany z galicyjskim* 1844. O ile z kilku prelekcji, na których byłem, wnosić mogę, o ile mnie zresztą objaśniły uwagi moich współsłuchaczy, p. Słotwiński wyklada z życiem i z przedmiotem należycie jest obeznany. Wszakże dawniejsi jego uczniowie, którzy jeszcze słuchali kursu prawa rzymskiego, uważają się, że p. Słotwiński dawno już zeszedł z pola naukowego, że zamknięty w ciasnem kółku pojęć zeszłego stulecia, o postępach nauki nie ma nawet wyobrażenia i z pogardą spoziéra. Mówiono, że p. Słotwiński pragnie podziękować za katedrę; życzymy mu przeto spoczynku, ile że do tego upoważnia go przeszło trzydziestoletnia służba, wyczerpane siły, a co najwięcej, obowiązki adwokata, którym niemal wyłącznie czas swój poświęca, mamy prawo powiedzieć, że z ujmą profesorskiego powołania i godności. Podczas bytności mojej w Krakowie, dowiedziałem się wielu bliższych szczegółów, które mógłbym przytoczyć

w poparciu, com wyżej nadmieniał; jedynie własne moje stanowisko, z którego mężów uniwersytetu i ich czyny sądzę, każe mi w tem miejscu zakończyć moje uwagi.

P. Ignacy Hammer professorem od lat 3ch — nie nie napisał. Mamy nadzieję, że przyszedłszy do zdrowia, którego brak w ciągu zeszłoletnich kursów, dotkliwie czuć się dawał, powołaniu swemu jak należy odpowie.

P. I. S. H. Rzesiński F. i O. P. D. mianowany zastępcą zeszłego roku; będąc adjunktem przy bibliotece, wydał: *Gibbona Rys historyi prawodawstwa rzymskiego*. *Tennemanna, Rys historyi filozofii I. i II.* *Proces cywilny krakowski i nowe tłumaczenie trzech kodeksów francuzkich z paralellami*. Wykłada z życiem, z nauką jest obeznany i obowiązkom professor-skim odpowiada. Pragniemy szczerze, aby został mianowany rzeczywistym professorem, gdyż wtedy będzie mógł porzucić obowiązki adwokata i wyłącznie oddać się powołaniu nauczyciela, a literaturę prawną obdarzyć jakąś ważniejszą nad dotychczasowe tłumaczenia pracą, czego spodziewać się po zdolnościach i nauce p. Rzesińskiego zupełne mamy prawo. Jedynie tę uwagę zrobić winniśmy, że 6 godzin tygodniowo nie może wystarczyć na filozofią prawa, propedeutykę, prawo karne i jego teorią, jak o tém sam p. Rzesiński najlepiej się przekonał, gdyż przez większą część roku zaledwie encyklopedyą prawną ukończyć był w stanie.

*P. Wincenty Szpor* O. P. D., mianowany zastępcą zeszłego roku. Oprócz rozprawy doktoryzacyjnej, nic nie napisał. Był przez kilka lat senatorem, od trzydziestu jest notaryuszem, jak mi powiadano, sam zbudował sobie dom, lubi muzykę i gra na skrzypcach — a w ocenięniu tych kwalifikacyi, wydział mianował go profesorem ekonomii politycznej! Rzecz nie do uwierzenia, a przecież tak jest rzeczywiście. Nie mieliśmy nigdy pojęcia o takiej nędzocie wykładu, jakiej p. Szpor dał nam dowód. Kiedy ze szkół parafialnych wypędzają metodę katechizmową, p. Szpor wprowadza ją na uniwersytet i ekonomią polityczną, administracją, statystykę, te kardynalne nauki politycznego życia, te pierwsze podwaliny wiadomości każdego publicznego człowieka, p. Szpor wyklada, dyktując pytania i odpowiedzi. Takiej śmiałości, czy też takiej niedołężności profesora, nie widzieliśmy przykładowo.

Czy p. Szpor pozwoli nam przejrzeć swój całoroczny kurs ekonomii politycznej i administracyi? Wszak prelekcye uniwersytetu mogą podpadać krytyce, wszak kolegami p. Szpora w tymże samym zawodzie, aczkolwiek na innych uniwersytetach pracującymi są: PP. Wołowski, Blanqui, Chevalier Rau i wielu innych.

Ale p. Szpor o tych imionach nawet nie slyszal, u niego historia ekonomii politycznej w 3ch arkuszach zawarta, konczy sie na Riccardzie i Mac Cullochu, a Storch i Poelitz są dla niego ostatnim krańcem, po za który umiejętność na-

wet nie wyrzała. Oto są punkta, na które p. Szpor zwraca uwagę w wykładzie ekonomii politycznej.

Dwa pierwsze pytania odnoszą do historii literatury europejskiej, trzecie do literatury ekonomicznej polskiej.

Na trzecie pytanie: „Co jest źródłem bogactw, jak się dzieli praca towarzyska, od czego zależy ilość produktów, odpowiada w 20tu wierszach; na 4te i 5te o podziale i granicach podziału pracy w 15tu. Co jest zamiana i jakie środki ułatwiające, w 10ciu wierszach; co jest wartość zamienna w 20tu wierszach; wielorakie są sposoby użycia kapitałów, co jest kapitał a co zapas w 40tu wierszach. Takie są zasady produkcyi w 15tu wierszach. Tak więc p. Szpor historią ekonomii politycznej traktuje w trzech arkuszach, samą zaś ekonomią polityczną w jednym niespełna arkuszu!

Czy p. Szpor ma sumienie tak zwodzić młodzież; drwić ze słuchaczy i naśmiewać się z uniwersytetu Jagiellońskiego, pisząc się jego profesorem, czy p. Szpor nie spalił się ze wstydu, umieszczając w indexie: *disciplinas politicas publice exponet*; czy p. Szpor mógł, porachowawszy się z sobą uczciwie, przyjąć katedrę ekonomii politycznej, na to, żeby uczniów wydziału prawnego uczył ortografii i przestankowań? Takie rzeczy dziać się mogą tylko w Krakowie.

I wy powiadacie, wy patryoci, że lepiej iż Polak obejmuje katedrę, że na profesora nie

nasłano Niemca, że wykład jest polski. A moi panowie, choćby też z Chin przysłano wam człowieka, choćby też po hebrajsku wykładać mu kazano, młodzież więcéjby się nauczyła, aniżeli pod polskim professorem i na polskim wykładzie p. Szpora. A oto p. Szpor dwa lata siedzi na katedrze i dwa lata w ten sposób uczy młodzież nauk politycznych i uniwersytet cierpi go w swem gronie. Musicie mieć wzajemnie sobie dużo do przebaczenia, że krzyżując nieudolność i niedbalstwo śmiecie tolerować.

P. *Ant. Zygm. Helcel*, imię zaszczytnie znane w literaturze prawniczej. Jeszcze w Warszawie słyszeliśmy dużo o jego znajomości prawa polskiego i dla tego nie mogliśmy pojąć tak długiego ociągania się z przyjęciem katedry. Przeszłoroczny zawód polityczny jeszcze go do tego nie upoważnił, wszak p. Guizot ma teraz wrócić do Colège de France. Wstrzymywałoz p. Helcla smutne koleżeństwo krakowskich professorów; tem większy bodziec do pospiechu, bo jeśli uczniowie będą widzieli samych tylko opasłych mnichów, jakież pojęcie mogą wzięść o nauce, jakże się potrafią do niej rozpalić miłością, kiedy umiejętność takich, jak dotąd miała w Krakowie reprezentantów!

P. *Alexander Cukrowicz* obojga prawa doktor, prokurator przy sądach trybunału miasta Krakowa i jego okręgu, prokurator sądu drukowego i t. d. na wstępie literackiego zawodu, wydał: *Tłumaczenie mów Bossueta*, dalej *Słownik francuzko-polski*, dalej przerobiony z nie-

mieckiego, *Zbiór Galicyzmów*, dalej *Tłumaczenie pierwszego tomu Zachariego*, i za to został — jak sądzicie — może tłumaczem rządowym języka francuzkiego, — Boże uchovej! — może licealnym nauczycielem języka francuzkiego, — bynajmniej! więc czém? — professorem prawa rzymskiego!


Rzecz niepojęta, a przecież prawdziwa. Takich uniwersalnych kandydatów miałem honor poznać w Krakowie większą liczbę, sam nawet odebrałem list ze Lwowa, w którym mnie jeden obojga praw filozofii i nauk wyzwolonych doktor zapytuje: czy nie opróżniona jaka posada w uniwersytecie krakowskim. A jaka — jemu wszystko jedno, czy weterynaryi, czy mineralogii, czy też historii powszechnej. On wszystkiego uczyć gotów i wszystkiego uczyć będzie jednakowo, bo nic nie umie.

Ale wracając do pana Cukrowicza, (od którego, nie wiem, czyśmy bardzo odbiegli), szanowny professor na katedrze odgrywa dalej rolę tłumacza, do której, jak widać, już go fatum powołało. Z wlepionemi oczyma w francuzkie: *Manuel du droit Romain*, jakając się i krztusząc, wlecze swój tłumaczony wykład i to się zowie; „*Historiam et institutiones juris Romani profitebitur*.“ A p. Cukrowicz jest człowiek młody i już w pierwszym roku nauczycielstwa mógł pomyśleć o synekurze.

Pisano nam także, że p. Cukrowicz nowem naszą literaturę ma udarować arcydziełem, — rozumié się, tłumaczonem. Będą to tłumaczo-

ne instytucje rzymskie! I na co, pytamy? Któż z polskich instytucji uczyć się będzie rzymskiego prawa? Jak wreszcie p. Cukrowicz może zerwać się na tłumaczenie justynianowskich instytucji? W pierwszym tomie Zachariego otrzymaliśmy już próbkę terminologii prawniczej i tej mamy dosyć.

## XV.

 rzystępuję teraz do wydziału medycznego, i zaczynam od jego dziekana.

P. *Hechell* wydał rozprawę o pijaństwie. W rozprawie o pijaństwie, którą napisał i drukiem ogłosił, wykazał z rzadką gruntownością i dobitnością, jak ten zgubny nalóg jest szkodliwym, jak okropne za sobą pociąga skutki, jak go się strzedz należy, jak upadła ród ludzki, jakby to lepiej było, gdyby go nie było. (Rozumie się pijaństwa). Dowiódł jasno tych i wielu innych rzeczy w zacytowanej rozprawie o pijaństwie. P. *Hechell* nie celuje płodnością, ale gruntownością, jego rozprawa o pijaństwie przeważa stósy dzieł, któremi płytki pisarkowie mają zwyczaj księgarnie zarzucać.

W ciągu kilkunastoletniego nauczycielstwa p. *Hechell*, napisał jedną rozprawę, ale jaką! *jednego ale łwa*. A przepraszam, p. *Hechell* napisał także rozprawę o potrzebie policyi le-

karskiéj; po piętnastoletnim wykładzie medycyny sądowéj uczuł, iż musi dowodzić jeszcze jéj użytku.

P. Józef Majer professorem od lat 16. Jego pisma: *Spostrzeżenia fizyczne we względzie wsysiania i wydzielania. Kilka wiadomości o Walentym z Lublina i Walentym Fontanie 1845. Spis doktorów medycyny w Krakowie od r. 1830. do 1845. Wpływ stanu meteorologicznego na śmiertelność oceniony, według dziesięcioletnich spostrzeżeń w Krakowie 1845. Kilka wiadomości z dziejów wydz. lek. uniwersytetu Jagiellońskiego 1839. Obraz postępu nauki lekarskiéj, o ile nań wpłynęły pisma polskie, lub prace Polaków w trzech ostatnich latach wydane tom I. 1840. II. 1842. Zawód lekarski Jana Broscyusza. Projekt urządzenia służby weterynarskiéj w Krakowie 1842. Przegląd potworów rybich 1844. Skutki ciśnienia powietrza pod względem fizyologicznym i patologicznym 1844. Wspólnie z professorem Skoblem: *Objaśnienia nad wyrazami lekarskiemi 1836. Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich 1842.**

Rzadko mamy sposobność uznania prawdziwéj zasługi, abyśmy z radością nie mieli téj pochwycić. Wyznajemy śmiało, że p. Majer może być zaszczytem uniwersytetu, nietylko w Krakowie (bo o to nie trudno), ale nawet w Berlinie, Paryżu, Montpellier i innych. Mamy głęboki szacunek dla nauki i zdolności pana Majera, a uwielbiamy jego prace w wykla-

dzie, w literaturze, poświęceniu dla uniwersytetu młodzieży i ducha naukowego w Krakowie.

P. *Józef Brodowicz* professorem od lat 27. Nie podziwiamy bynajmniej paszkwilowych zarzutów, które p. B. czyniono zeszłego roku, w tem, co mu kładą za winę, możebyśmy uznali jego zasługę; możebyśmy jemu powinni zawdzięczyć, że uniwersytetu dotychczas nie zniesiono. Okrzyczany kreaturą austryacką pod dzisiejszym rządem zrezygnował z posady komisarza naukowego, a nawet za katedrę i dyrekcją kliniki podziękował. Jest to odpowiedź na potwarze.

Ale inny mamy żal do p. Brodowicza. Niezawodnie jest to niepospolite w dziejach krakowskiej medycyny imię, sława, nauka, ale dowodów na to żadnych, żadnego dzieła, żadnej ogłoszonej pracy. Wzniósłszy się na stanowisko bezstronnego sędziego, mamy obowiązek powiedzenia całej prawdy, choćby też jak najwięcej miała nas kosztować. P. Brodowicz, jako professor i dyrektor kliniki, jest, a przynajmniej my go takim znaleźmy, zbyt cierpki, ubliżający prawom grzeczności, w postępowaniu z uczniami uległy osobistym sympatyom. Te drobne wady (w profesorze nie zbyt drobne), tem są widoczniejsze, im więcej odbijają od niezaprzeczonej wyższości charakteru, której p. B. odmówić trudno.

P. *Fl. Sawiczewski* professorem od lat przeszło 20. Przed kilkunastu laty wydawał pożyteczne, chociaż w większej części tłumacze-

niami wypełnione, pismo farmazentyczne. Obciążony katedrą chemii i farmacyi, chemii praktycznej całkiem nie wykłada. Mielibyśmy prawo zapytać p. S., którego nauka i zdolność nam są znane, czemu zaniedbał pola, czemu o jego dziełach, o jego analizach nic nie słyszemy.

P. *Ludwik Bierkowski*, professor od lat 20. Żałujemy tych pięknych zdolności, któremi niegdys cieszył się Ruszt, które mogły porównać p. B. z takim operatorem, jak *Langenbeck*, a które tutaj wśród powszechniej odrętwiałości, w braku praktyki, tak znacznie zmalały. Mimo to, p. B. jest zawsze jednym z cenniejszych autorów *niemieckich*. Wszystkie jego dzieła znaczniejsze, jako to: *Erklärung der anatomisch-chirurgischen Abbildungen nebst Beschreibung der chirurgischen Operation. Berlin 1827. I. II. Chirurgische Erfahrungen gesammelt und herausgegeben 1847.* i świeżo wydane, które przed kilkoma dniami w Berlinie widziałem: *Chirurgische Tafeln — eine Pracht-Ausgabe 1849.* ogłoszone w Niemczech i dla Niemców. Kilka, tylko mniej ważnych, jego broszur wyszło po polsku. A przecież mieliśmy sposobność słyszenia i podziwiania zapalu, z jakim p. B. o patryotyzmie rozprawiał. Deklamacye nie kosztują, a za dzieło w Berlinie zapłacą.

P. *Fr. Skobel* professorem od lat 15. Dzieła wspólnie z *Majerem* pisane, powyżej wymieniliśmy. Mówią, że p. *Skobel* wiele pracuje,

prosilibyśmy o więcej dowodów i o większe zajęcie się uczniami, a proźbę tę nie do niego samego, ale do wszystkich profesorów uniwersytetu stosujemy.

P. *Ant. Kozubowski* professorem od lat 17. Rozprawa o karlakach tatrzań. Z prelekcji, na które uczęszczałem zeszłego roku, nie mogłem ostatecznie zawyrokować, czy p. Kozubowski lepszym byłby professorem, czy też prosektorem. Wykład jego czyzy, jest tylko monotonną repetycją spamiętanych nazwisk. Przed dwoma laty miałem sposobność słyszenia profesora anat. w Wiedniu, a wykład jego tak mnie zachwycił, że m już zupełnie miał się poświęcić anatomii. W każdym bowiem uniwersytecie słyszeć można o odkryciach mikroskopowych, o nowych postępach anatomii; a w obec nich p. K., zdaje się zapominać o obowiązkach człowieka nauki. Wszakżeż muszą oddać sprawiedliwość, iż gabinet anatomiczny jest bardzo piękny, widziałem w nim preparata, którychby Wiedeń i Berlin nawet pozazdrościł.

P. *J. Kwaśniewski* może być dobrym akuzerem, ale że nie odpowiada obowiązkom profesora, ani człowieka naukowego, to nie ulega żadnej wątpliwości. Oprócz kilku rozprawek drukowanych w roczniku lekarskim, p. Kwaśniewski na nic się więcej nie zdobył, a już przez kilkanaście lat zalega na katedrze uniwersyteckiej.

**P. Ignacy Czerwiakowski**, professorem od lat 7. Musimy zwrócić uwagę szanownego dyrektora zakładu botanicznego, że ogród nie jest utrzymywany, jakby powinien, że zbywa mu na roślinach lekarskich dość pospolitych i ciągłego użytku. Z przyjemnością przychodzi nam oddać sprawiedliwość p. C., że wykład jego ożywiony ma wiele pociągu dla uczniów; atoli zamiast przerobionych z niemieckiego dzieł botaniki ogólnej (które téż są potrzebne), wolelibyśmy; aby p. C. pomyślał o Florze polskiej, w reszcie krakowskiej, aby robił wycieczki botaniczne, podróże naukowe po kraju, czy to sam, czy téż z uczniami. Nie potrzebujemy p. C. przypominać, jak wiele tego rodzaju ekskursye, na większy robione zakres, wpływają na obudzenie w młodzieży ochoty i zamiłowania nauki.

**P. Ludwik Zejszner** professorem od r. 1829. do 1833. i przeszłego roku znowu na katedrę powołany. P. Z. jest tym rzadkim w uniwersytecie krakowskim fenomenem, którego imię znane jest w całej Europie. Oto szereg pism szanownego profesora. *O powstaniu i formacji bazaltowej* 1829. *System minerałów* 1833. *Opis Wieliczki* 1843. *Nowe gatunki skamieniałości Tatrowych* 1846. *Pieśni ludu Podholan* 1847. *Paleontologia polska* — muóstwo różpraw w bibliotece warszawskiej w roczniku lek. krak. i wielu pismach niemieckich.

do P. *Waw. Domański* professorem od lat 7, nic nie napisał.

Na tem kończymy przegląd wydziału medycznego. Prawdę mówiąc, chociaż znajdują się tu i owdzie głębokie cienie, wydział medyczny jest zawsze perłą świecąca w Krakowie. Z małym wyjątkiem wszyscy niemal profesorowie znają przedmiot swój gruntownie — pracują — piszą, wydają dzieła i jeśli nad Krakowem noc barbarzyństwa i ciemnoty nie zupełnie roztoczyła swe skrzydła, ich to pracy, zamiłowaniu światła i życiu naukowemu zawdzięczyć należy.

## XVI.

### Wydział filozoficzny.

**B**ędąc porządkiem starszeństwa hierarchicznego, zacząć musimy od dziekana.

P. I. K. *Steczowski* do r. 1842. adjunktem obserwatorium, odtąd professorem matematyki elementarniej. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czego w szkołach uczą, jeżeli p. *Steczowski* wyklada matematykę elementarną. A jak wyklada; zimno, nudnie, ospale, widać, jak ta prelekcyja ciężkim jest dla niego obowiązkiem. Cóż robi poza szkołą — nic. A przynajmniej o żadnym dziele nie słyszeliśmy, prócz rozprawki: *De longitudine geographica Crac. i o a-*

*strologii*, nie nie napisał. Dostawszy się do katedry, osiadł na laurach, które zdobył kilkunastoletniem mnożeniem rachunków Bessla w obserwatoryum i w ciszy domowego życia spoczywa. Zdawałoby nam się, że lepszym spoczynkiem byłoby, całkowite usunięcie się od katedry.

*P. Max Weisse*. Sława krakowska — professorem od niepamiętnych czasów, niezmordowany rachownik. Prace jego naukowe (wspólnie z p. Steczkowskim dokonane, chociaż napis dzieła o tem milezy), ograniczają się na redukcji w tablicach Bessla stopy francuzkiéj na wiedeńską. Ta praca machinalna, aczkolwiek nie zbyt zgodna ze stanowiskiem profesora, od którego czegoś więcej, jak umiejętności mnożenia wymagamy, zyskała mu wieńce, pochwały, pierścienie i tabakierki. Mielibyśmy także prawo zapytać, dla czego p. Weisse, po tyloletnim w Krakowie, na posadzie uniwersyteckiej, pobycie, nie uzdolnił się do wykładu w języku polskim? Nic śmieszniejszego, jak jego prelekcya, jedno słowo po polsku, dwa po niemiecku a dwa po łacinie. Musimy także zapytać, czyli obserwatoryum nie jest w stanie pomyśleć o nowéj igle magnesowéj, czy też obserwacye magnetyczne już się szanownemu profesorowi sprzykrzyły?

*I. K. Trojański*, professor, dziekan, rektór z kolei. Ciężkie słowniki podniosły imię jego w obłoki sławy, z których na nas śmiertelników spoglądając do pracy swojej czerpie spi-

rytualne natchnienia. Dzieła jego są następujące: grammatyka łacińska 1819. 1824. 1834. Słownik polsko-łaciński 1819. Zadania do tłumaczenia z polskiego na łacińskie I. II. 1828. 1829. Grammatyka niemiecka 1833. Słownik polsko-niemiecki 1835. Słownik niemiecko-polski I. II. W przekonaniu, iż zrobimy przysługę p. T., gdy poprzestaniemy na wyliczeniu dzieł powyższych, nie wspominając już nie o sposobie, w jaki obowiązki profesora wypełnia, o nudnym i niedbałym wykładzie, o dziwnej napażoności, którą uczniów od siebie odstrasza, na tém uwagi nasze kończymy. Mamy poszanowanie dla wytrwałości, chociażby ta była tak mechaniczną, jak układanie słowników, ale rozprawa o mitologii greckiej nie zbyt chlubne dała nam świadectwo o wysokości umysłowej i nieco ogólniejszych pojęciach p. Trojańskiego.

P. Józef Muczkowski. Na kilku prelekcjach, którym byłem obecny, zdawało mi się widzieć szczerą chęć przelania nauki w uczniów miłość obranego zawodu i cześć dla przeszłości. Atoli jego wykład bibliograficzny jest encyklopedyą historyczną Polski, nie zaprzeczamy bardzo użyteczną dla uczniów, którzy opuścili szkoły, ale niedostateczną dla ludzi, pragnących się nauczyć bibliografii. Żadnej z jej gałęzi p. Muczkowski dość obszernie nie wyklada, bo wewnętrznemu popędowi oprzeć się nie umie, bo grafikę, historję, drukarstwo, numizmatykę, bibliotekarstwo w ogólności przechodzi, aby do

historyi tychże przedmiotów w Polsce czemprędzej pospieszyć. Być może, że w żądaniach naszych jesteśmy niesprawiedliwi, że z archeologii ojczystej na lekcjach p. Muczkowskiego, nie słysząc dla nas nic nowego, nudziliśmy się zbyt częstemi powtarzaniem znanych nam rzeczy, ale zwiedzeni indexem: „*Bibliografiam profitebitur*“ nie zupełnie to zastaliśmy, czegośmy się spodziewali. Mimo to kurs p. Muczkowskiego dla młodzieży początkującej jest użyteczny. P. Muczkowski jest professorem od r. 1035. Dzieła przezeń wydane, są: Powieści starego i nowego testamentu 1820. 1831. Gramatyka języka polskiego 1825. Pierwsze zasady języka łacińskiego: Pauli Paulirini viginti artium manuscriptum librum 1835. Gramatyka języka polskiego 1836. Rękopisma Marcina Radymińskiego 1840. Mieszkania i postępowania uczniów krakowskich 1842. O Janach Leopolitach z XVI. w 1845. Bractwa jezuickie i akademickie 1845. Rozmaitości bibliograficzne 1846. Wiadomości o założeniu uniwersytetu Jagiellońskiego i Liceum Nowodw. 1849. Mała grammatyka i grammatyka języka polskiego 1850.

Ten liczny poczet dzieł świadczy o życiu naukowem szanownego profesora. Ale żałujemy bardzo, że o panu Muczkowskim musimy jeszcze, jako o bibliotekarzu powiedzieć — odkładamy tę smutną powinność do następnego listu.

P. *Ludwik Kuczyński* professorem od lat 10. Słyszeliśmy wielu znakomitych professorów w Wiedniu i Berlinie, ale tak pięknego, tak ożywionego, tak ścisłego wykładu, jakim jest wykład p. Kuczyńskiego, nie słyszeliśmy. Ta jedność i przejrzystość języka, płynność i potoczność mowy, dobitność i ścisłość matematyczna, a nadewszystko żywość i ogień wykładu obok głębokiej znajomości i stanowiska na równi z nauką, jest dla słuchaczy rozkoszą. Gdyby w młodzieży było cokolwiek miłości nauki; p. Kuczyński z uczniów uniwersytetu porobilby samych fizyków. Ale dla czego p. Kuczyński nie wydaje tych skryptów których udziela uczniom? dla czego tak długo każe czekać na porządne kompendyum fizyki?

Ks. *Jan Staroniewicz* professorem od lat kilku — do tych czas nie miał czasu czy też ochoty nic wydać.

P. *Józ. Kremer*. Zastępcą od lat trzech. Dzieła jego *Fenomenologia Ducha*, *Listy z Krakowa*. Wykład systematyczny *Filozofii*. W szkole jest professorem porządnym, wykład jego do najlepszych w tutejszym uniwersytecie się liczy. Ale pragnęliśmy szczerze, aby p. Kremer porzucił raz ten dosyć nudny nałóg napuszystości i ciągłego skakania w języku. Dzieła zyskałyby na treściwości, a myśli na jasności i ścisłościem nieco opowiadaniu. Pan Kremer byłby daleko lepszym pisarzem, a może i professorem, gdyby chciał się nieco prościej wy-

rażać, gdyby frazesa nie były tak wyszukane, wymuszone, wykute.

**P. Wal. Kulawski.** Po trzydziestoletniej pracy w liceum, powołano go na katedrę uniwersytecką, wtedy, kiedy stracił siły, zapal, i ze wszystkich przymiotów naukowego człowieka i profesora została się tylko sama nauka, ciężka i sucha. Gdybyśmy nie uważali na to, że katedra historii jest jedną z najważniejszych w uniwersytecie, najsilniej wpływająca na rozwój umysłów i serca młodzieży, że najłatwiej usposabia do dojrzałości rozumu i przyczynia do krytycznego, a wznioślejszego poglądu, tobyśmy już pominęli szkolne przyzwyczajenia szanownego profesora i cieszyli się jedynie, że p. Kulawski będzie miał teraz więcej czasu do korzystania z ogromnych materiałów, które przez całe życie nagromadził. Ale kiedy mówimy o profesorze, nie możemy zważać na prywatnego człowieka, chociażby ten miał więcej nawet pracy i nauki, aniżeli ję ma p. Kulawski.

## XVII.

**N**ie możemy zakończyć tego przeglądu znanych profesorów, bez wspomnienia o panu Polu. Słyszeliśmy, iż został zamianowany profesorem geografii fizycznej, a doniesiono nam,

że nominacya ta wypadła bez żadnego udziału akademii.

P. Pol professorem jeografii fizycznój! kiedy się o tém dowiedziałem w Wroclawiu, biłem się z myślami, czy się podać na profesora teologii pastoralnój, czy też weterynaryi, bo te właśnie katedry w tamtejszym uniwersytecie wakowały. P. Pol professorem jeografii fizycznój, czy dla tego, że napisał kilka niezgorzonych i kilka nędznych wierszyków? czy dla tego, że z taborem jeździł po domach szlacheckich w podgórzach karpackich?

Ale do czego. — P. Pol od lat dwunastu pracuje w jeografii, p. Pol wymierzył całe Karpaty, p. Pol pisał jeografią fizyczną całej Polski i napisał ją nawet w 5 tomach; wszyscy o tem wiedzieli, czytali, już mapy miano robić (czy też sztychować) w Lipsku, kiedy przysła owa fatalna rzeź galicyjska — i chłopci ukradli p. Polowi jedyny rękopism!

Co za nieszczęsny wypadek! bez niego byli byśmy się cieszyli nadzieją, p. Pol ogłosiłby jeszcze kilka razy w Bibliotece Warszawskiej, Ossolińskich lub Orędowniku doniesienie, przyszłoby nawet do zbierania przedpłaty — ale cóż! chłopci ukradli manuskrypt — sprzedali go pewno Moskalom i teraz gnije bezwątpienia, przywalony foliantami w bibliotece Załuskich.

Niema rady — trzeba czekać, aż się wybijemy, albo, jak w Petersburgu ogłoszą rzeczpospolitę — a wtedy Moskale nam sami wydadzą manuskrypt p. Pola i bibliotekę Zału-

skich. Tylko ostrożnie, żeby w drodze most się gdzie nie załamał — albo Szwedzi nie wydarli nam tego skarbu.

I jak tu nie być ostrożnym! P. Pol nie czerpał z książek, p. Pol nie tłumaczył z niemieckich autorów, bo Niemcy jeszcze od nas mniej wiedzą w tym względzie; p. Pol bezwątpienia całą Polskę musiał objechać, wymierzyć wszystkie góry, pagórki, doliny, rzeki, jeziora, lasy, bagniska od morza bałtyckiego do morza czarnego, od Odry — ba — po za Odrę aż do Dniepru, p. Pol sam zrobił to, na co się we Francyi towarzystwa całe zbierały; do czego rząd pomagał, nad czem uczeni całe życie strawili — to p. Pol zrobił sam jeden w ciągu dwunastu lat, nie wyjeżdżając z Galicyi, wymierzył całą Polskę, baraszkując ze szlachtą i pisząc wierszyki, przejrzał na wskroś Karpaty.

I jak tu się nie smuć — jak nie żałować pracy poety-jeografa, jak nie podziwiać wymowy p. Pola, który potrafił nakłonić ministerjum oświecenia w Wiedniu, do zniesienia się z ministerjum oświecenia w Petersburgu i przekonania się na miejscu o wartości dzieła pana Pola w bibliotece Załuskich.

Ale dość tych żartów i szarlataneryi. — Czyż uniwersytet jest domem podrzutków, czyż dla tego, że p. Pol może nie mieć na utrzymanie życia, służy mu prawo objęcia katedry do czego go jedynie upoważniają gazeciarskie ogłoszenia i dwudziestolatnia faufaronada. Ucho się od dzbana urwało i woda się wylała. Przez

lat 12 daliśmy się ludzi, dziś żądamy prawdy. Jeśli Krakowianie cieszą się, że autora „*bajże baję po zwyczaju*“ mają w swoim gronie, ja przypominam, że minęły już te czasy, kiedy prenumerata wieńczyła ludzi koroną literacką, ja zapytam p. Pola, jaką nam daje rękojmię, że ma wyobrażenie o przedmiocie, który na uniwersytecie ma wykladać. Uczyć się teraz za późno, a dźwięcznymi słówkami można u-  
 wodzić tylko kobiety i niedorostków.

Być może, że p. Pol, czytając te słowa, pożałuje tych kilku tysięcy złotych — my żalujemy jego sławy, która się rozbiła, jak gliniana skorupa, żalujemy uniwersytetu, któremu wolno nasylać ludzi żadnych kwalifikacyi i którzy go jeszcze jedną niezdolnością z bogacili — żal nam wreszcie tego narodu, co jak trzoda owiec jedno za drugim beczy na jeden ton i w którego kilkowierszową gadką wmówić można, że się jest wielkim człowiekiem.

### XVIII.

**P**rzystępuję teraz do zakładów naukowych, a najprzód do biblioteki. Już o panu Muczkowskim, jako o profesorze bibliografii i gramatyki polskiej, powiedziałem wyżej, teraz mów parę o bibliotekarzu i bibliotece.

Wchodząc małemi drzwiczkami do ciemnej wązkiej sionki, sądziłem, że mylnie wskazano mi drogę, że *per angusta ad angusta* wyjdę na klasztorny refektarz lub do celi księdza kustosza, nie wiem dla czego, ale myśl ta nie chciała mnie opuścić, kiedym nawet znalazł się w lektoryum. Izdebka mała, długi stół w pośrodku, a w okół stolki na których mają (!) siedzieć czytający; obok ścian szafy, jak zwyczajnie po bibliotekach, a na ścianach kilka historycznych bohomazów. Przy stole kilkunastu studentów czekających w milczeniu i pokorze, między nimi przeciskają się i potracając nieustannie dwaj bedele, a nad tem wszystkim, jak Jehowa w obrazie sądu ostatecznego Michała Anioła, unosi się piorunujący głos pana bibliotekarza.

Znowu wspomnienie klasztorne wróciło mi na myśl, a p. bibliotekarz wydawał mi się podobnym do tłustego mnicha, który nie jest w stanie przebaczyć, że go ze snu lub od śniadania oderwano.

Nie mogąc utulić się w gniewie, nie mając rzeczywiście słusznego powodu dąsania się, chwytam najpierwszą sposobność rozjątrzenia i wywarciłam gniewu na nieszczęśliwych bedelach, którym wszystko powiedzieć wolno, i nieszczęśliwszych jeszcze uczniach, którzy wszystko powiedzieć sobie dadzą. Dosyć, że pierwsze słowo, które zaraz przy drzwiach usłyszałem, było: „*Ośle patrz lepiej*,” a potem tymże samym tonem: „*Co pan chcesz*” do któregoś z stu-



dentów zwrócone. Widziałem już poprzednio pana Muczkowskiego, będąc więc pewnym, że wszedłem do biblioteki i widzę p. bibliotekarza zajętego, zbliżyłem się z wolna do któregoś z pp. adjunktów, czy też zastępującego miejsce adjunkta. Mówię wyraźnie *zastępującego*, bo odpowiedź, którą od nich za każdą razą usłyszałem, pokazała mi dowodnie, iż miejsce zdolniejszym *zastępują*. „Niech się pan uda do p. bibliotekarza.“ Ależ p. bibliotekarz zajęty, odpowiedziałem: „to niech się pan raczy zatrzymać.“

Cóż to są za adjunkci, kiedy się nimi professor lub bibliotekarz wyręczyć nie może. Ilekroć byłem w bibliotece, zastałem zawsze p. Kalinkę i p. Ekielskiego, zajętych przepisowaniem lub układaniem kartek lub karteczek, w téj właśnie chwili, kiedy sala lektoryum zapchana była studentami oczekującymi na książki. Można pojąć (choć nigdy usprawiedliwić) gniew p. Muczkowskiego, a nawet niechęć, którą wyraźnie każdemu nowo-przybywającemu okazuje, jeżeli nierozgarnieni Bedele myślą się w książkach, uczniowie czekają w milczeniu, a pp. adjunkci siedzą tak uparcie przy swoich stolikach, jakby biblioteka runąć miała w chwili, gdy się oni z krzesła podniosą; ale nie przypuszczałem nigdy, aby na posadę adjunkta dostateczną była posada mniej więcej czytelnego pisania. Dowiedziałem się później, że wybór obu tych panów zależał od samego bibliotekarza. To znowu nowa dla mnie zagadka!

Ale wrócimy się do lektoryum. Sala grzmi od straszliwych huków i przekleństw: „A bodaj cię djabli.... — czy tam nie masz wyraźnie X. 9. i t. d.“ Patrzę z przerażeniem na pierzącego się bibliotekarza i drzę, ażali lada chwila nie wpadnie w konwulsyę i pian toczyć nie będzie. „Co pan chcesz?“ „„Proszę o Bogusławskiego dzieła dramatyczne.““ „„Jak Pan możesz takie rzeczy czytać — niech Pan idzie do czytelnicy, biblioteka nie jest od wypożyczania romansów i komedyi.“ Z natężoną ciekawością słuchałem dalszego ciągu rozmowy, ale na nieszczęście ustała, a p. bibliotekarz piorunującym głosem zapytał: „który tom?!“ Przy niesiono żądany tom, pożyczono jeszcze kilka romansów *Walter-Skotta*, parę tomów *Obrazów Chodźki* i sala zwolna się wypróżniała poczęła.

Niezawodnie — jest rzeczą bardzo bolesną, jak ta młodzież uniwersytecka trawi czas na czytaniu nędznych komedyi i powieści, smutno mi było usłyszyć od samego bibliotekarza, który się uzał, że kilku uczniów uniwersytetu żądało od niego pism Kościuszki i Czarnieckiego, ale jeżeli względ ten może nakłonić p. Muczkwskiego do łagodnej perswazyi, nie upoważnia go nigdy do okazywania gniewu, lub odmawiania książki. Gdyby który z uczniów miał nieco więcej godności, spytałby (a z zupełnem prawem) „co panu do tego“ i przypomniałby p. bibliotekarzowi obowiązek służenia publiczności. Słyszałem kilkanaście razy pana

Muczkowskiego mówiącego, iż to jest własność publiczna; ale za każdą razą, kiedy widziałem go w bibliotece, zdawało mi się, iż jest u siebie w domu i pożyczając książki — łaskę wyświadcza.

Nie zwrócilibyśmy uwagi na tę mrukliwość bibliotekarską, która wreszcie wszystkim bibliotekarzom poza europejskim jest wspólną, a dowodzi tylko braku wychowania i zupełnego usunięcia się od wszelkich lepszych towarzystw, gdyby mrukliwość ta w następstwach swoich nie była jak najzgubniejszą. Gdyby młodzież pałała miłością nauki, gdyby profesorowie wlewali w nią to uczucie, gdyby nauka i dzieła były dla niej koniecznym warunkiem życia — o niechby sobie p. bibliotekarz krzyczał i wrzeszczał na uczniów, łajał i bił nawet bedeli. Biblioteka byłaby zawsze pełną. Ale w obec takiej oziębłości młodzieży, takiej apatyi, takiego zubożenia dla nauki, dla literatury, dla przeszłości, byłoby ucziwiżej walczyć z sobą i hamować gniew, młodych zachęcać jak najmilszem przyjęciem, grzecznością i życzliwością zniewalać ich i ściągać do biblioteki, niżli odstraszać żołnierskimi manierami. Niech p. bibliotekarz o tem pamięta, że nie jest u siebie, ale w miejscu swego urzędowania, że nie już cywilizacya, ale obowiązek, za który jest płatny, wymagają od niego grzeczności, że na gniewy dość będzie czasu w pourzędowych godzinach.

A jest dość czasu. Index uniwersytecki, że biblioteka otwartą bywa w kursie zimowym od 9—1, w kursie letnim od 9—12 i od 3—6. Tymczasem wszystko się kończy na trzech godzinach nie spełna dziennie. A teraz porachujmy wszystkie święta, uroczystości i ferye akademiczne, które biblioteka oprócz innych starannie obchodzi, pokaże się, że prawie przez pół roku jest zamkniętą. Nic dziwnego, że, jak dotychczas słyszeliśmy, nie jest ułożoną i jeżeli prace tak jak dotąd postępować będą, podobno nie prędko przyjdzie do przeniesienia.

Chcielibyśmy także zwrócić uwagę na potrzebę lektoryum, boć wśród krzyków i hałasów nikt czytać nie może, a nie będąc znany bibliotekarzowi, dzieł do domu nie dostanie. Dla tego senat akademicki, czy téż inna jaka władza uniwersytecka, powinnyby pomyśleć o przepisach dla biblioteki, bibliotekarza i czytających, ażeby wszyscy je znali i do nich się stósować mogli, aby jedyne źródło nauki w Krakowie od humoru naczelnika nie zależało.

O innych zakładach mało co możemy powiedzieć. Oddajemy tylko sprawiedliwość p. Szauerowi za jego pracę i usilność; o gabinecie zoologicznym i anatomicznym już wspomnieliśmy.

**S**kończyłem pobieżny przegląd<sup>III</sup> członków uniwersytetu. Wyznajcie moi panowie że byłem bardzo wyrozumiały, że wytknąłem tylko to co samo było w oczy, że najdrobniejszej zasługi, chęci nawet zasłużenia się, nie pominąłem, w sądzie moim wstrzymywałem się nieustannie i lękałem się gdziekolwiek popelnić niesprawiedliwości, bo wreszcie wśród ciemności szukałem światełka, wśród skwaru na pustyni choćby jednej kropli wody.

A przecież choć wielu z was poświęca się mniej więcej nauce, chociaż wyklada z ogniem i ścisłością, czyli dużo jest takich co ma dokładne wyobrażenie o swoich obowiązkach i wyszedłszy z prelekyi myśli jeszcze o młodzieży dla której żywot ich jest zakupiony. Któryż obcowaniem swoim zachęca ich do nauki, rozbudza miłość światła?

Żaden!

A natomiast są między wami co jeszcze resztę dni wolnych od prelekyi gonią za zarobkiem, chwytają grosz, puszczają się na zyskowne przedsięwzięcia. O jak to wszystko jest zgodne ze stanowiskiem profesora uniwersyte-  
tu. Mógłbym wymienić jednego, który synom swoim lekcyę do szkół przerabia, tyle ma czasu wolnego, a wyklada najgorzej, a jednego dzieła nawet nie wydał, a wyszedłszy z lekcyi

chyba wtedy sobie przypomni, że jest profesorem, kiedy go na obiad do Rektora lub Dziekana zaproszą. Jleż tu małości; co tu wstydu w niepoczuciu tego wstydu!

A gdybym chciał zejść niżej, gdybym pod kamień probierczy chciał wziąć Liceum, Instytut Techniczny, Szkoły wydziałowe, Cóż tam próżniactwa, nieudolności, niedbalstwa, opieszałości, pedantyzmu! A mógłbym tomy o tych panach pisać!

Patrzcie gdzie dziś stoi ta *alma mater scientiarum*, gdzieście zawiedli tę *perłę nauki* kazimierzowską, jak wychowaliście tę młodzież!

Będziecie mi wyrzucali że piszę paszkwile że złość kierowała mym piórem. O zapewne kto tak jak ja ukochał tę ziemię, komu przeszłość jej wielka jest Bogiem, komu w krew ona wsiąkła, kto żyje jej ciepłem i światłem a potem z tamtego świata zejdzie do was — możeż nieczuć oburzenia, możeż w piersiach jego serce się nie burzyć, mogąż wnętrzości jego się nie targać!

Wszak ja od was chcę dobrej woli, trochę dobrej woli i nic więcej. Chcę miłości dla tych dzieci co do was po światło przychodzą, chcę miłości dla tych cieniów co przed wami tu gorzały.

A wy cóż dajecie téj młodzieży? jakby jałmużnę niedogryzione kości nauki, jakąż ofiarę składacie tym ceniom? ofiarę z własnych obowiązków.

Synowie miasta na którem cięży srogie przekleństwo wiecznego snu — a za co! za to że wspólnie z innymi nie z imienia ale z czynów wyparliście się polskości, za to iż święte groby znieważyliście małością — iż w sercach swoich głos obowiązku zgłuszyliście własną korrzyścią, że tchórzostwo zdusiło u was wielką puściznę ojców, że najwznioślejsze uczucie miłości ojczyzny zrównaliście z niekczemnością i nienawiścią wrogów.

A to ja mówię do was, bo czuję że mam prawo tak mówić, mam obowiązek tak mówić! a już nie do was tylko ludzi uniwersytetu się odzywam ale głos mój dalej sięga; idzie do szkoły i po za szkołę — idzie do miasta i za miasto.

## XX.

**S**kończyłem — i słowa moje słę do was choć nie są z was.

Nie są z was bobyście je umiłowali — nie są z was, bo ich nienawidzicie.

Podacie je hańbie i oszczędzicie mnie jako apostatę.

Albożem odszedł od źródła z któregoście się zrodzili, albóż słowa moje nie są jękiem waszych narodzin? Z głębi piersi wołam do was:

Czemu zdradzacie wasze imię?

A za słowa te rzucacie mnie na wzgardę i nienawiść, a ja wam daję co mam najświętszego w sobie, daję ten dźwięk co ducha mego wiąże z grobami, daję wam prawdę.

Nie wziąłem jej z siebie ale wziąłem ją z przeszłości.

Przez usta moje ona mówi do was, ale wy jej nie rozumiecie i odpychacie wołając: Piłacie ukrzyżuj go, on bluźni!

\*  
\*  
Ojcowie wielcy naród was nie poznał, a jam was poznał i głosiłem chwałę waszą. Jać tęsknię do was, bo smutno samemu na pobojuwisku gdy całe wojsko poległo, smutno samemu na puszczy gdzie drzewa i kamienie nie rozumieją słów jego, smutniej na waszych grobach widzieć pasące się owce. Ja jestem wasz i czemuż kazano mi żyć nie między wami; alboż mam co wspólnego z innymi, alboż należę do tego świata?

Ojcowie wielcy! czemużeście odbiegli synów waszych, daliście im ciało, a ducha nie dali, i oto małość wyniańczyła ich.

Nad grobami błędzą wasze cienie, i ani mogą zejść na dół, ani iść w górę bo nie zostawili następców.

I wszystkimi borami, wszystkimi rzekami i wiatrem żalobnym i z otchłani ziemnych dobywa się wasz płacz. A synowie wasi go nie słyszą a choćby go słyszeli czyż mają siłę ażeby go utulić?

Bo choć widzą wasz miecz nie ujrzą ręki waszój, a choć i rękę obaczą, nie ujrzą waszego ducha.

Ojcowie wielcy! czemużście odbieźeli synów waszych?

Po śmierci waszój stała się pustka jak w wymarłym gmachu.

Gmach stoi ale mieszkańca w nim niema; więc niech się zsyple w piramidę aby był grobem.

Ojcowie wielcy! jeśli tak kochacie tę ziemię, jakeście ją za życia miłowali — więc zastąpcie raz jeszcze, weźmijcie za ręce wasze dzieci, albo, połączcie dwa morza: niechaj ocean będzie nam pomnikiem.



Ojcowie wielcy! czemużście odbieźeli synów waszych, dalsze im ciało, a ducha nie dali,

i oto małe wyminęły się.

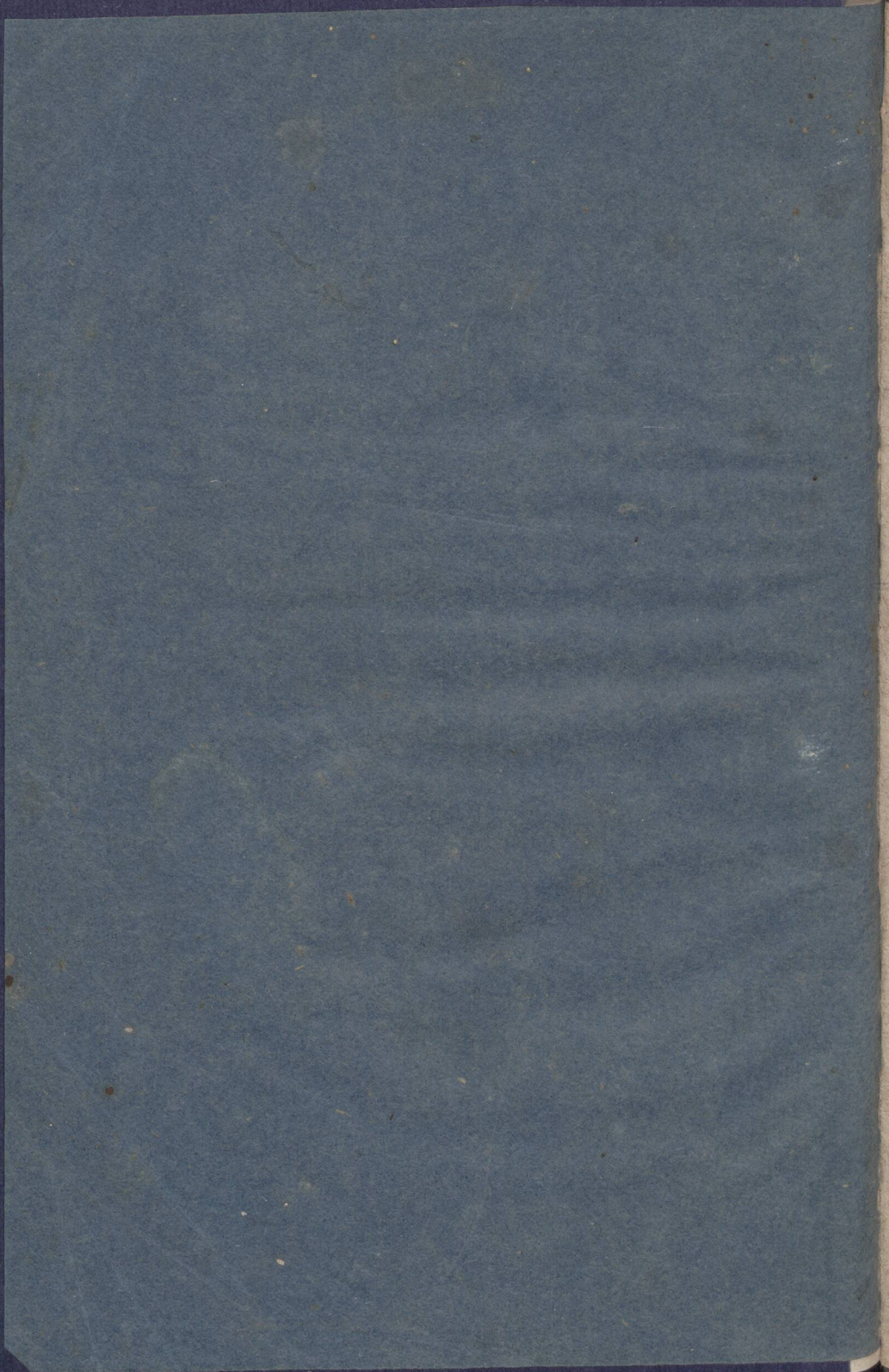
Nad grobami pisał wasze cienie, i ani mo-  
ga zejść na dół, ani iść w górę bo nie zosta-  
wił następów.

I waszkiemie dotam, waszkiemie zroka-  
ni i wiatrem zlotobym i z otchłami ziemnych

dobry wa się wasz płacz. A synowie wasi go  
nie słyszeli a choćby go słyszeli czy mają się

niechby go utulił?





15. J



BG0781302

